

H HARLEQUIN[®]
TM

GORĄCY ROMANS[®]



NAMIĘTNOŚCI
NIGDY DOSYĆ

LAUREN CANAN

Lauren Canan

Namiętności nigdy dosyć

Tłumaczenie:
Anna Sawisz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Po skończonym spotkaniu biznesowym Cole Masters opuścił hotel i poszedł w kierunku zaparkowanej nieopodal limuzyny, którą miał się udać na lotnisko, by wrócić do Dallas. Podpisanie umowy przebiegło nadspodziewanie gładko. Ot, jeszcze jedna bezproblemowa - a przez to nudna - fuzja przedsiębiorstw.

Zatrzymał się i rozejrzał wokół. Późnopołudniowe słońce padało mu na twarz, poprawiając samopoczucie. Nowy Orlean. Miasto Wielkiego Luzu. Kiedy to ostatnio zdarzyło mu się zapuścić w zaułki Dzielnicy Francuskiej, by posłuchać jej gwaru i wszechobecnej muzyki? Zapewne dość dawno, ale do dziś wspominał to z czułością...

Podjął błyskawiczną decyzję. Podeszedł do czekającego przy samochodzie szofera.

- Jest tu gdzieś w pobliżu sklep Armii Zbawienia czy coś w tym rodzaju? - zapytał.

- Słucham?

- Nie pytaj, tylko mi go znajdź.

Po kilku minutach kierowca wręczył mu karteczkę z adresem.

- Świetnie. Zawieziesz mnie?

- Tak, proszę pana.

- Gene, ty i Marco macie już wolne - powiedział do jednego z towarzyszących mu ochroniarzy. - Samolot czeka przed halą D. Polecicie nim do domu.

- Panie Masters, nie wydaje się, żeby to był dobry pomysł.

- Dam sobie radę. Powiedzcie pilotowi, żeby wrócił po mnie jutro po południu. A teraz jedziemy na zakupy - powiedział, wsiadając do limuzyny, która ruszyła, pozostawiając na krawężniku oniemiałą obstawę.

Miny ochroniarzy wskazywały, że uważają swojego pracodawcę za niespełna rozumu. Może aż tak bardzo się nie mylą? Cole miał ochotę na chwilę szaleństwa i zapomnienia. Chciał naresz-

cie poczuć się wolny, wmieszać w tłum przechodniów i nacieszyć kilkoma przeznaczonymi tylko dla niego godzinami.

Był zmęczony. Otaczającymi go miernotami, które dla własnej korzyści przytakiwały każdemu jego słowu. Wymogami życia w korporacji, wszechobecnymi schematami i procedurami. Męczyło go, że z góry wiedział, jakie pytania i odpowiedzi padną w kolejnej rundzie negocjacji. Powoli zaczynał się czuć jak zakładnik rodzinnej firmy, jak spętany niewolnik.

Widział, że traci ludzkie uczucia, gorzknije, przemawia nie swoim językiem. Znajomi zaczynają się od niego oddalać, ale czy można mieć im to za złe? Stał się cyniczny, podejrzliwy, lekceważył ludzi, okazywał im pogardę. Piastowane stanowisko dyrektora finansowego rodzinnego koncernu wycenianego na ponad osiem miliardów dolarów już dawno przestało być dla niego źródłem dumy i satysfakcji.

Kupił sobie dzinsy, T-shirt, kurtkę i parę schodzonych butów. Odprawił kierowcę, przebrał się i ruszył przed siebie w nadziei, że nikt go nie rozpozna i nikt niczego nie będzie od niego chciał. Że zatraci się w muzyce i niepowtarzalnej atmosferze Nowego Orleanu.

Facet z bliska wyglądał równie odpychająco, jak z daleka. Przystojna twarz miała twarde rysy i dość nikczemny, świadczący o ciężkim bagażu doświadczeń i całkowitej samoświadomości wyraz. Widoczne to było nawet w dość słabym świetle lampek migocących nad wystawionymi na zewnątrz stolikami. Włosy o barwie ciemnej czekolady podkreślały złocisty odcień jego piwnych oczu. I te oczy ją pociągały.

Chciała spojrzeć w nie z bliska, nie bacząc na ewentualne konsekwencje.

Miał pełne zmysłowe wargi. Z trudem powstrzymywała się przed wyobrażaniem sobie, jak by to było czuć je na swoich ustach. Zapragnęła, by jego ręce pieściły jej ciało, by ogarnął ich wspólny żar. On musi być świetny w łóżku. Nie miała pojęcia, skąd to przekonanie, ale nie miała też żadnych wątpliwości. I chyba go już gdzieś dziś widziała...

Tallie Finley wyczuwała w nim godnego siebie przeciwnika

i partnera. Wysoki, dobrze zbudowany, w przetartych dżinsach i czarnym podkoszulku z wyblakłym wzorem na piersiach i w zbyt obszernej kurtce, o ile to w ogóle możliwe, zważywszy na niebywałą szerokość jego ramion. Zrobił na niej wrażenie człowieka, któremu kiedyś świat leżał u stóp, po czym zaczął wszystko tracić. Ale nie poddaje się bez walki.

- Co teraz? - spytała Kate „Mac” McAdams, sącząc do dna wino z kieliszka.

- Koraliki, nie możemy wrócić do domu bez koralików - odkrzyknęła Ginger Barnes.

Tallie wyszła ze swoimi dwiema przyjaciółkami na Bourbon Street, by wziąć udział w tradycyjnym rytuale ulicznej zabawy.

Gdy dotarły do hotelu, Tallie stanęła na balkonie i spojrzała na kłębiący się na dole tłum. Faceci machali uniesionymi w górę sznurami połyskujących, kolorowych paciorków, które miały zachęcić dziewczyny na balkonach do zdjęcia górnego przyodziewku.

Przez otwarte drzwi każdego baru wydobywały się grane przez ulicznych muzykantów jazzowe i bluesowe melodie, które teoretycznie w sumie powinny tworzyć jazgot nie do zniesienia. I pewnie wszędzie indziej by tak było. Ale nie w tym zachwycającym mieście. Powietrze rozbrzmiewało śmiechem, pijackimi gwizdami i okrzykami, migotało kolorami, pachniało przyprawami i grillowanym jedzeniem. Drugiego takiego miejsca nie ma nigdzie. Tu można poczuć się pępkiem świata.

Tallie wiedziała, że gdy wkrótce będzie musiała wyjechać do Teksasu na rozmowy w sprawie wykopalisk, to poczucie minie bezpowrotnie.

- Nie stój tak! - krzyknęła do niej Ginger, najbliższa przyjaciółka, z którą w ciągu ostatnich sześciu lat dzieliły pokój w akademikach. - Masz je przecież, dziewczyno! Zrób z nich użytek!

- I to już! - zachęcała Mac, ostatnia z ich tercetu koleżanek nierozłączek. Razem przyjechały się bawić do Miasta Wielkiego Luzu.

- Nie sądzę. - Tallie nie miała ochoty na publiczne rozbieranki. - Ale wy, jeśli chcecie...

- Mnie nie powstrzymasz - powiedziała Mac, mrugając do niej figlarnie. - Muszę mieć te koraliki.

- Ale wiesz, że można je kupić w każdym tutejszym sklepiku?

- Jasne, tyle że to żadna frajda.

Kręcąc kusząco biodrami w odbijający się od murów rytm głośnej muzyki, blondynka zbliżyła się do krawędzi balkonu i zaczęła guzik po guziku rozpinąć bluzkę. Tłum na dole zaczął kłaskać i wydzierać się jeszcze głośniej.

Wszystko rozegrało się tak szybko, że trudno było dostrzec piersi Mac, ale widać facetom to wystarczyło, bo zaczęli rzucać w jej kierunku sznury koraliki. Nie wierząc własnym oczom, Tallie przyglądała się, jak manewr przyjaciółki powtórzyła Ginger.

Po czym obie na nią spojrzały.

Tallie pokręciła głową.

- To nie dla mnie. I szczerze mówiąc, jestem zdumiona, że wzięłyście udział w czymś tak... dziwnym.

- Chcesz powiedzieć, że będziesz żyć dalej, z doktoratem w kieszeni i karierą naukową przed sobą, bez wspomnień tak cudownego przeżycia? - Ginger przekrzykiwała muzykę i chichocząc, dopijała resztkę drinka.

- Właśnie tak. Dobrze mnie zrozumiałaś - odparła Tallie ze śmiechem.

Obie jej przyjaciółki są nieźle nawalone i chyba naćpane. Ona nigdy nie doprowadzi się do stanu, w którym potrząsanie gołymi cyckami na oczach setek ludzi będzie dla niej jak bułka z masłem. Co się stało z jej pracowitymi i pryncypialnymi przyjaciółkami? To zrozumiałe, że chcą odreagować stres związany z egzaminami dyplomowymi, ale żeby aż tak?

- Dajcie spokój. Na pewno są tu jeszcze miejsca, których nie zwiedzałyśmy. Mam ochotę potańczyć.

Zeszły po schodach i ponownie znalazły się na ulicy.

- Nie mam nic przeciwko tańcom - zgodziła się Ginger. - Niech no mi tylko zagrają jakiś gorący seksowny kawałek. Masz, musisz się czymś przyozdobić, jeśli chcesz, żeby cię ktoś poprosił do tańca - dokończyła, zarzucając przyjaciółce na głowę kilka sznurów koraliki.

- Racja. - Mac oplotła szyję Tallie jeszcze kilkoma sznurami. -

Teraz nareszcie wyglądamy jak gotowe na wszystko.

Na wszystko? Tallie z trudem mogła sobie wyobrazić, co koleżanka ma na myśli.

- Dokąd idziemy? Jest noc z piątku na sobotę, co lepsze kluby i bary są na pewno pełne po brzegi - westchnęła Ginger.

- Oczywiście - dodała Mac. - Przed jednym z nich widziałam olbrzymią kolejkę. Ale na pewno coś znajdziemy.

- Chwileczkę, zdaje mi się, że podsłuchałam, jak ludzie chwala jakiś fajny lokal na obrzeżach dzielnicy. Gator Trap Bar and Grill czy coś takiego. Idzie się Bourbon Street w kierunku St. Ann. Narobili mi apetytu na tamtejsze drinki - zaśmiała się Ginger. - Nazywają się Napalony Ramol i Bagienny Świerzb...

- Nie brzmi to najlepiej.

- Jak zwał, tak zwał. Ale napić się można.

Wypiły drinki kupione na ulicznym straganie i ruszyły w dół Bourbon Street.

Gator Trap okazał się miejscem niezwykle nastrojowym. Panowała tam ciemność rozświetlana jedynie świecami na stolikach i lampkami wiszącymi na ogromnym lustrze za barem, pozostałymi po zakończonej pięć miesięcy temu Gwiazdce. Do wejścia zachęcały dobiegające z głębi pomieszczenia dźwięki saksofonu, trąbki, pianina i basu.

Ginger i Mac podążyły do toalety, a Tallie zajęła stołek za barem.

- Czym mogę służyć? - Barman zabrał sprzed jej nosa dwie brudne szklanki i wytarł blat.

Tallie złożyła zamówienie.

- Dla mnie to samo - odezwał się mężczyzna siedzący po jej prawej stronie. - Gdybym nie spróbował Bagiennego Świerzbu, nie mógłbym powiedzieć, że byłem w Nowym Orleanie.

Tallie roześmiała się i odwróciła w jego stronę. Rozszerzonymi ze zdumienia oczami wpatrywała się w tajemniczego osobnika, którego widziała tego wieczoru w kilku miejscach. On też ją chyba poznał, bo w jego złocistych oczach pojawił się błysk.

- Zdaje się, że coś nas łączy.

- Masz na myśli wizytę w akwarium?

- Tak. I występy na Jackson Square.

- Aha, jasne, niektórzy grali świetnie, nie sądzisz? Ale chyba nie byliśmy razem w zoo ani na łódkach?

- Nie. Może następnym razem.

Miał głęboki, szorstki i absolutnie seksowny głos. Gdy pojawiły się przed nimi drinki, wznosił toast:

- Za nowe doświadczenia.

- Za nowe doświadczenia - powtórzyła za nim z uśmiechem.

Ten wieczór był zdecydowanie właśnie czymś takim. Studiowała w tym mieście, ale nigdy nie zaznała nocnego życia. Brakowało pieniędzy, poza tym pilnie przykładała się do nauki. Archeologia to jej pasja.

Ginger miała rację - podawano tu znakomite drinki. Tallie niemal duszkiem opróżniła szklanekę.

- Jeszcze dwa razy to samo - powiedział mężczyzna, kładąc na blacie pieniądze. - Zatańczymy? - zwrócił się do Tallie.

To zabrzmiało raczej jak rozkaz niż pytanie, ale gdy wziął ją za rękę, nie protestowała. Poprowadził ją na niewielki parkiet, położył sobie jej dłonie na ramionach, a sam objął ją i przyciągnął do siebie.

Był silny i muskularny. Ona miała ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, a mimo to ledwie sięgała mu do ramienia. Najwyraźniej nie miał ochoty na rozmowę, zadowolając się mocnym uściskiem i wspólnym poruszaniem się w rytm rzewnej muzyki. Jej też to odpowiadało.

Kątem oka dostrzegła mijające ich Ginger i Mac. Obie mruknęły do niej, z uznaniem unosząc w górę kciuki. Po odtańczeniu trzech kawałków tajemniczy mężczyzna odprowadził ją do baru, gdzie czekały na nich świeże drinki. Podobnie jak przedtem opróżnienie szklanki nie zajęło Tallie dużo czasu.

Podszedł barman i nieznamy zamówił coś dla nich obojga po francusku.

- Spodoba ci się. To specjalność lokalu.

Rzeczywiście, drink był pyszny.

- Mieszkasz tu? - spytała zauroczona sposobem, w jaki przy przelętykaniu napoju porusza się jego jabłko Adama. Czy ten facet musi być sexy we wszystkim, co robi?

- Nie. Ja mieszkam... w różnych miejscach. Właściwie nie

mam czegoś, co można by nazwać domem.

- Oj, to musi być smutne.

- Smutne? Moim domem jest cały świat. Uważasz, że to smutne?

- Myślę, że fajnie jest podróżować od czasu do czasu, ale trzeba mieć jakieś swoje miejsce na ziemi. Ja przynajmniej tak bym chciała. Tam, gdzie możesz zrzucić buty, wyłączyć telefon, zasnąć we własnym łóżku, gdzie czujesz się... no wiesz... jak w domu. Ale nie martw się - dodała, klepiąc go w ramię. - Na pewno kiedyś znajdziesz dom. Jestem pewna.

- Trzymam cię za słowo - odparł, zaciskając usta, jakby uważał, że powiedziała coś śmiesznego.

Skończyła pić, a on zamówił następną kolejkę.

- A twój dom rodzinny? - zapytała.

- Texas. Daleki północny wschód. Tam się wychowałem, tam mieszka moja rodzina. Do szkoły chodziłem w Tulane. Można powiedzieć, że wtedy miałem dom.

- To jest naprawdę bardzo dobre - powiedziała, sącząc dopiero co postawionego przed nią drinka, czemu seksowny nieznajomy przyglądał się z rozbawieniem.

- Cieszę się, że ci smakuje. Gotowa? - spytał, gdy zespół zaczął grać nową piosenkę.

Melodia była powolna, nastrojowa. Tallie położyła mężczyźnie głowę na piersiach i poddała się rytmowi. Czuła ciepło jego ciała, chłonęła zapach. On przesuwając ręką po jej plecach, przyciągając coraz mocniej do siebie. Nagle wziął w dłonie jej twarz i odsunął z niej włosy. W słabym świetle niewiele było widać, ale to, co zobaczyła, kompletnie ją oczarowało. Jego bursztynowe oczy jaśniały blaskiem, ale większą uwagę przyciągały jego usta. Jak by to było całować się z nim?

Ledwie to pomyślała, on pochylił głowę i poczuła na ustach jego wargi. Ciepłe, delikatne, ponętne.

Zdumiała ją ich kontrastująca z twardą muskulaturą jego ciała miękkość. Pocałunek trwał tak krótko, że zaczęła się zastanawiać, czy go sobie nie wymyśliła. Przyglądał się jej, jakby szukał sygnałów, czy życzy sobie być całowana, czy też nie. Uśmiechnęła się w dowód aprobaty. Z uszczęśliwioną miną znów się ku

niej nachylił.

- Jesteś taka piękna - szepnął jej do ucha.

Jego ciepły oddech spowodował, że poczuła ciarki na całym ciele. On zaś znów dotknął wargami jej ust i ruchami języka przekonywał, że powinna je rozchylić. Przystąpiła na to. Jego język zdecydowanym ruchem wniknął w jej usta. Smakował ostrymi ziołami lekko przyprawionymi alkoholem i jedynym w swoim rodzaju męskim aromatem. To było wspaniałe.

Delikatnie zasysała jego język. Mężczyzna jęknął cicho i coraz głębiej wsuwał język, jakby chciał posmakować wszystkiego, co ma mu do zaoferowania. Tallie jeszcze nigdy przez nikogo nie była tak całowana - fachowo, z jednoznacznie seksualnym podtekstem.

Jej doświadczenie nie wybiegało poza ukradkowe buziaki na dobranoc. Teraz wiedziała, że nijak miały się one do prawdziwego całowania. On nagle oderwał usta od jej warg i zaczął drobnymi całusami znaczyć jej szczękę aż po koniuszek ucha. Zaraz jednak wrócił do pocałunku w usta, a ona ostatecznie poddała się burzy uczuć. Jego wargi, zapach, dotyk skóry i moc jego ciała niemal odebrały jej rozum.

Lekko ją przyciskał i już nie miała wątpliwości, że jej pragnie. W dole brzucha poczuła twarde napór. Instynktownie przywarła do niego całym ciałem, a on wydał z siebie głęboki i przeciągły jęk. Po czym powtórzył ten oszalamiający gorący pocałunek.

Tulił ją i całował w zniewalająco pierwotny sposób. Czulo się jego siłę, nawet jeśli starał się ją powściągać. Nie dawał jej chwili wytchnienia. Objął dłońmi jej twarz. Nie była w stanie myśleć. Potem jedną ręką objął ją w pasie, a drugą zanurzył w jej włosach, odchylił jej głowę do tyłu, wciąż pogłębiając pocałunki. Poczuła, że zamiast krwi płynie jej w żyłach gorąca lawa. Chwyciła go za poły rozpiętej kurtki, by nie upaść.

To zadziwiające, jak ich ciała idealnie do siebie pasowały. Jej biust opierał się o jego szeroki tors, czuła dotyk muskularnych ud i ewidentną erekcję. Ogarnęła ją fala gorąca, instynkt zapanaował nad rozumem. Wciąż jeszcze tańczą czy już przestali?

Nie potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie, ale też nie chciała otwierać oczu w obawie, że czar pryśnie.

Świat wokół zdawał się nie istnieć. Dla Tallie nie liczyło się nic poza ciepłem i smakiem ust nieznanego, jego typowo męskim zapachem i świadczącym o dużym doświadczeniu zachowaniem. Czuła jedynie, że chce, aby to trwało bez końca. Jego głos, mowa ciała – to wszystko było niesamowicie pociągające. Czyżby zadziałały feromony? Tak czy owak facet wprowadził w jej uporządkowane i bezpieczne życie element ryzyka.

Wyglądał, jakby zdążył doświadczyć zarówno najlepszych, jak i najgorszych rzeczy, które składają się na ludzki los. Wiele musiał przejść. Nie miał domu. Ubrany byle jak. Natknęła się na niego wiele razy tego wieczoru i zawsze był sam. A nie chciała, żeby był samotny.

Powoli oderwał od niej usta i mocniej ją przytrzymał.

- Przestali grać – odezwał się schrypniętym głosem. – Chętnie odetchnąłbym świeżym powietrzem. A ty?

Skinęła głową, a on wziął ją za rękę, po czym skierowali się do drzwi. Szli koślawym chodnikiem otoczeni tłumem obojętnych na wszystko nocnych hulaków.

Tallie nie chciała, żeby ten niezapomniany wieczór się zakończył.

- Dzięki za taniec – powiedziała. – Uwielbiam tańczyć, a rzadko mam po temu okazję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Pozwól, że odprowadzę cię do hotelu.

- Dziękuję. To tam. – Wskazała ręką kierunek, po czym zmarszczyła brwi. – O nie, to raczej tam. Nie pamiętam, jak tu się dostałam – stwierdziła szczerze, widząc jego rozbawione spojrzenie. – Ale jakoś trafię. Nie musisz mi towarzyszyć.

- Jak się nazywa twój hotel?

Zaraz, zaraz... Szybko zdała sobie sprawę, że nie ma zielonego pojęcia.

- To było coś... po francusku. – Przygryzła dolną wargę, pokręciła głową i po raz kolejny bezradnie rozejrzała się dokoła.

- To może pójdziemy do mnie? Zjemy coś, zrobimy sobie herbatę. To na pewno odświeży ci pamięć.

Drinki były cudowne, ale niestety zaćmiły jej umysł. Nawet teraz mimo rześkiego wieczornego powietrza kręciło się jej

w głowie.

- Bardzo miły z ciebie facet.

- Aż tak bardzo miły to nie jestem. Zwłaszcza kiedy jest przy mnie piękna kobieta.

Pomyślała, że sobie żartuje. Nigdy nie uważała się za piękność. Zachichotała.

Poczuła się tak lekko, jakby unosiła się w powietrzu. Dopiero po chwili zorientowała się, że to on podniósł ją i niesie, trzymając w ramionach. To, co było potem, pamiętała jak przez mgłę. Zadzwoił jakiś dzwonek, otworzyły się jakieś drzwi. Ona cały czas opierała głowę o jego ramię i myślała: co za wspaniała noc.

Kątem oka widziała fragmenty jego twarzy. Była taka męska. Głębokie bruzdy po obu stronach ust czyniły go jeszcze bardziej pociągającym. A przede wszystkim te złociste oczy...

Miała niejasne wrażenie, że znaleźli się w jakimś prywatnym mieszkaniu.

- Zagotuję wodę na herbatę - powiedział, stawiając ją na podłodze.

Tallie przesunęła rękami po jego koszuli, stanęła na palcach i dotknęła wargami jego ust. Namiętności nigdy dość.

On cofnął się.

- Uważaj, kochanie. Igrasz z ogniem, który może cię pochłonać. Ja nie wchodzę w związki.

- A co robisz? - Tallie zachowywała się w sposób dla siebie nietypowy, ale nawet jej się to podobało. Po raz pierwszy w życiu flirtowała z prawdziwym mężczyzną.

- Teraz chyba zrobię herbatę.

- Naprawdę masz na nią ochotę?

Przyglądał się jej w milczeniu. To była odpowiedź. Tallie poczuła się głupio, na jej szyi i twarzy pojawił się rumieniec.

- Ja też nie szukam stałego związku - powiedziała, odwracając się i sięgając po torebkę. - I wiem, kiedy nie jestem mile widziana. Jeszcze raz dziękuję za taniec. Dobranoc.

Skierowała się do drzwi.

- Dokąd to? - zapytał, zagradzając jej drogę.

- Wracam do hotelu. Mam tylko trochę kłopotów z przypomnieniem sobie, gdzie on jest.

Poczuła się upokorzona, co stanowiło znakomite antidotum na odczuwane jeszcze przed chwilą pożądanie. Na szczęście nie zrobiła niczego bardzo głupiego, ale i tak nabroiła. Nie da się tego już odwrócić. Nie powinna się była godzić, gdy ją poprosił do tańca.

- Wezmę taksówkę.

- A jak odpowiesz na pytanie, dokąd jechać?

Wyjął jej z rąk torebkę i rzucił ją na stojącą za nimi kanapę. A potem podniósł Tallie jeszcze raz i zaniósł ją do sypialni. Zwarli się w gorącym pocałunku. Jak przez mgłę czuła, że on rozpina jej bluzkę. Potem zrobiło się jej zimno w plecy i niejasno zdała sobie sprawę, że nie ma na sobie ani bluzki, ani stanika. Pogładziła ręką chłodną jedwabną pościel. Atmosfera robiła się gęsta i gorąca.

W ciągu sekundy jego kurtka i T-shirt wylądowały na podłodze, a po chwili usłyszała odgłos rozsuwania zamka błyskawicznego dżinsów.

Miał wspaniałe ciało, a Tallie wiedziała, że za chwilę zostanie przekroczona pewna granica. Jeśli natychmiast nie powie nie, będą się kochać.

Wyczuł jej wahanie i przyglądał się jej oczami pociemniałymi z pożądania.

Ona przesunęła wzrokiem po jego twarzy i zatrzymała się na ustach.

- Czy... jesteś żonaty? - wyszeptała, muskając palcem jego dolną wargę.

- Nie. - Przygryzł lekko jej palec. - Zamierzam się z tobą kochać. Ale muszę wiedzieć, czy się na to zgadzasz.

- Tak - odpowiedziała.

Skąd u niej ta odwaga? Normalnie była bardziej nieśmiała. Czy to wypity alkohol, czy też ten facet tak na nią podziałał?

- Miałem nadzieję to usłyszeć.

Pochylił się nad nią, pocałował w policzek i lekko przygryzł jej skórę, co spowodowało, że poczuła pulsowanie w dole brzucha. O tak, jest pewna, że tego chce. Do diabła z ostrożnością i roz-

sądkiem.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała jego twarz, która już zdążyła pokryć się wyczuwalnym szorstkim zarostem. Poczua się jakaś taka... niekompletna. Od niego oczekiwała dopełnienia.

Całował jej dłoń, delikatnie ssał każdy palec z osobna. Przygniótł ją swoim masywnym ciałem. Czua jego penisa napierającego na jej czuły punkt, usłyszała ochrypły pomruk. Była zgubiona. Głowa opadła jej na poduszkę i świat zakręcił się dokoła. Przywarła do niego mocniej, jej ciało domagało się czegoś więcej.

Ten niesamowity facet chce się z nią kochać i ona mu na to pozwala. A przecież go w ogóle nie zna. To czyste szaleństwo. Zaczepnęła tchu, ciało jej płonęło. Czy to sen? A może on jest księciem z bajki, tylko przebrał się za normalnego faceta? Nie ważne. Ona teraz należy do niego. Nic lepszego nie mogło się jej przytrafić.

Błyskawicznie ściągnął jej dzinsy i majteczki. Usłyszała, jak swoje spodnie też rzuca na podłogę. Na piersiach poczuła dotyk chłodnych w porównaniu z rozgrzaną skórą kolorowych plastikowych paciorków. Przesunął rękę w dół jej brzucha, chcąc się upewnić, że jest gotowa. Ułożył się na niej, a ogrom jego ciała na chwilę ją przeraził. Nagle poczuła się mała i bezbronna, bez szans na panowanie nad czymkolwiek.

- Możesz jeszcze odmówić - powiedział rozemocjonowany, jakby czytał jej w myślach. - Bo jak już w ciebie wejdem, raczej nie będem w stanie się zatrzymać.

Potrafiła w tym momencie jedynie kiwnąć głową. Pozostało jej mieć nadzieję, że jej instynktowna ocena tego faceta okaże się słuszna. Chciała tego. Ten jeden jedyny raz w życiu chciała być z facetem, od którego może nauczyć się rzeczy, o których dotychczas tylko słyszała. Zdobyć doświadczenie. Tylko ten jeden raz.

Jak na filmie wyświetlanym w zwolnionym tempie on dotknął ustami jej sutka i zaczął go ssać. Czua, jak pęcznieje, uniosła plecy. Objął jej twarz dłońmi, jakby pomagając jej uświadomić sobie, gdzie się znajduje. Wdychała jego zapach, czua jego siłę. Czua, jak jej ciało się rozluźnia, umysł rozjaśnia, pozbywa

wszelkich niepotrzebnych w tym momencie myśli. W pełni zaakceptowała to, co ma się stać. Westchnęła głęboko i cały świat znikł. Pozostał tylko on.

Wszedł w nią i choć robił to bardzo ostrożnie, żeby nie sprawić jej bólu, po raz kolejny zdumiał ją ogrom jego ciała. Jeszcze nigdy nie czuła się do tego stopnia wypełniona. Z trudem łapała oddech. On zatrzymał się, jakby wszystko rozumiał.

- Spokojnie, kochanie - szepnął jej do ucha. - Spróbuj się zrelaksować.

Po chwili poczuła, że nie musi się do niczego zmuszać, że tego po prostu potrzebuje. Przyłgnęła do niego, a on zaczął się poruszać. Miała poczucie wznoszenia się i opadania i w końcu nagle z głośnym krzykiem eksplodowała. Przytrzymał ją mocniej, szepcząc czułe słowa, dzięki którym jej szczytowanie trwało i trwało.

Usłyszała odgłos rozrywanej folii i po chwili on wrócił. Przeniósł jej ręce nad głowę, całował po szyi i piersiach, a w końcu wszedł w nią i znów zaczął się ruszać. Tym razem mocniej, niemal gwałtownie. Brał ją. Doprowadził do stanu, kiedy czuła się nasycona, a jednocześnie wciąż nie miała dość. Chciało się jej wyć z poczucia frustracji. Jęknęła cicho.

- Coś nie tak, kochanie?

- Proszę cię - szepnęła, napinając mięśnie. - Już nie wytrzymam.

Tylko on mógł ugasić pożar, który czuła między nogami. Wznowił ruchy, tym razem w jednym celu - doprowadzenia do równoczesnego orgazmu, który by ich zjednoczył. Pomruk, który wydał z siebie, gdy osiągnął spełnienie, wydał się jej najbardziej seksownym dźwiękiem na świecie.

Położył się obok niej, a ona oparła głowę o jego ramię. Miała poczucie przebywania w ciepłym przytulnym kokonie. Jego ciężkie ramiona ją tuliły. W środku nocy obudziła się i znów poczuła niepowstrzymane pożądanie. A po wszystkim znów usnęła.

- Tallie! Jesteś tam?! - Słyszać było kobiecy głos, a potem gwałtowne pukanie do drzwi.

Otworzyła oczy i rozejrzała się po nieznanym sobie pomiesz-

czeniu.

- Jestem - odpowiedziała rozespanym głosem.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wtargnęły Ginger i Mac.

- Nie wróciłaś do hotelu, zaczęliśmy się o ciebie martwić - wyjaśniła Mac, krążąc po sypialni. - Ale na szczęście wcześniej rano jakiś facet zadzwonił z twojego telefonu i nagrał wiadomość, że z tobą wszystko okej i powiedział, gdzie możemy cię znaleźć.

Tallie usiadła na łóżku, zbyt późno zdając sobie sprawę, że jest całkiem goła. Przykryła się prześcieradłem, przetarła oczy i ziewnęła.

- Która godzina?

- Prawie ósma, ty występna szczęściaro - uśmiechnęła się Ginger, puszczając oczko. - Kto by pomyślał, że z nas trzech właśnie Panna Szara Myszka będzie miała takiego farta?

- Ósma... rano?

- A jak? Musimy wracać do hotelu i się spakować. O dwunastej mamy samolot - przypomniała Mac. - Będziesz miała całe dwie godziny na opowiedzenia nam wszystkich smakowitych szczegółików tej grzesznej nocy. - Rzuciła w Tallie jej ubraniami. - Nie wywiniesz się.

- Masz zamiar jeszcze kiedyś się z nim spotkać? - spytała Ginger. - Nie obejrzałam go sobie dokładnie w tym barze. Pewnie uroczy?

Tallie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Uroczy to nie było najlepsze określenie. Tak można powiedzieć o nastolatku, a to był mężczyzna w każdym calu. A poza tym tak bardzo mu się nie przyglądała. Widzieli się właściwie tylko po ciemku. Czy teraz by go poznała?

Może tak, a może nie.

- Powiedziałabym raczej, że przystojny. I seksowny.

- Taaa... rozumie się.

- Ma bardzo seksowny głos przez telefon - dodała Mac.

Gdy Tallie zaczęła wstawać z łóżka, stwierdziła, że jest obolała. I to w miejscach, których istnienia w ogóle u siebie nie podejrzewała. Uśmiechnęła się do siebie. Trafił się jej niesamowicie cierpliwy i wprawny kochanek. Zadziwiające. Gdy dotknęła

stopą puszystego dywanu, jej uwagę przykuł zwinięty rachunek ze sklepu. Na odwrocie było napisane: „Jesteś bezbłędna. Dziękuję, C.”

- Co to? - spytała Ginger.

- Zostawił ci liścik? - Mac podeszła do łóżka. - Mam nadzieję, że wzięłaś od niego numer telefonu?

Gapiąc się na trzymany w ręku paragon, powoli pokręciła głową, nie mogąc pojąć, dlaczego do tego stopnia sytuacja wymknęła się jej spod kontroli.

- Ja nawet nie wiem, jak on ma na imię.

ROZDZIAŁ DRUGI

Trzy miesiące później

Tallie rozejrzała się wokół. Jak okiem sięgnąć, rozpościerały się pola uprawne. Między zagonami złocistej, sięgającej kolan pszenicy przemykała rzeka, której brzegi tu i ówdzie porastały kępy wysokich drzew. Pod konarami ogromnego dębu przycupnął stary traperski szałas. Wyglądał, jakby wystarczyło go tknąć palcem, żeby się zawalił. Na wschodzie wznosiło się urwisko.

Ciemnoczerwony kolor skał kontrastował z żółcią zbóż, a widniejące tu i ówdzie otwory wskazywały na obecność jaskiń, które w dawnych czasach zapewne były ludzkimi siedzibami.

Wiele wysiłku kosztowało ją spowodowanie, aby użytkownicy gigantycznych buldożerów i innych pracujących tam maszyn wyłączyli silniki. Dotarła do człowieka odpowiedzialnego za ogół prowadzonych tam prac budowlanych, pomachała mu przed nosem nakazem sądowym i teraz nad polami unosił się jedynie szum wiatru i od czasu do czasu śpiew zabłąkanego ptaka.

Jej zadaniem będzie udowodnienie, że w tym miejscu, gdzie obecnie drzewa przeznacza się głównie do wycinki, gdzie na masową skalę uprawia się pszenicę, wśród nielicznych skał kiedyś żyli ludzie.

Plemię rdzennych Amerykanów, o którym na próżno szukać wzmianek w publikacjach z zakresu historii. Ludzie, o których nie uczy się w szkołach, nie rozmawia w domach. Z jednym wyjątkiem – domu jej babci ze strony ojca. W przeddzień jej śmierci.

Najdroższa osoba poprosiła wówczas Tallie, żeby odnalazła ów lud, jej lud. Rozpostarła palce drżącej dłoni i przekazała wnuczce jedyną rodową pamiątkę – coś w rodzaju żetonu czy odznaki, zapewne jakiś symbol. Tallie właściwie nie miała wybo-

ru – obiecała babci, że zrobi wszystko, aby spełnić jej prośbę. Jej *ipokini* (przodkini) wyraźnie się wówczas uspokoiła i z uśmiechem na twarzy podała Tallie jeszcze coś: związany rzemykiem rulon owczej skóry o wymiarach mniej więcej sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów.

Na jego powierzchni czyjaś ręka dość nieudolnie naszkicowała mapę. Czerwonym proszkiem zaznaczono na niej teren, o który prawdopodobnie chodziło babci. Uwzględnił obszar, który teraz Tallie miała przed oczami – na zachodzie rzeka, która teraz podmywa korzenie wielkiego dębu, a na wschodzie kłify.

Pośrodku znajdowały się prymitywne rysunki podobne do tych, które czasami znajduje się w jaskiniach. Sylwetka konia, jeleni, wojownik z dzidą, miasteczko namiotów tipi. U góry uproszczony szkic symbolizujący góry, a na dole słowo *Oshahuntee*. Nieistniejące plemię. I nieistniejące słowo, którego by nie poznała, gdyby nie babcia.

Jej *ipokini* nie była zamożna. Jedyne jej skarbem było złote, wielkie jak Teksas serce, dzięki któremu przez niemal sto lat swojego życia pomagała ludziom. Z pewnością sądziła, że czyni Tallie wielki zaszczyt, przekazując jej coś tak ważnego. I to była prawda. Tallie postanowiła spełnić daną babci obietnicę.

Była mile zaskoczona, kiedy jej szef, kurator muzeum, w którym od trzech miesięcy pracowała, nie tylko dał formalną zgodę na przeprowadzenie tych badań, ale nawet wyglądał na dość podekscytowanego widokiem starej mapy. Choć Tallie chciała przeprowadzić wszystko w ramach urlopu, doktor Sterling wciągnął planowane przez nią wykopaliska na listę oficjalnych badań muzealnych. Tallie musiała więc jedynie pokryć koszty swojego pobytu w Teksasie.

Doktor Sterling pomógł jej umiejscowić na aktualnej mapie stanu obszar jej poszukiwań. Załatwił też sądowe zezwolenie na prowadzenie badań terenowych. Jedno tylko stało na przeszkodzie jej działaniom: Tallie była w ciąży.

Doktor Sterling bardzo się na wieść o tym zatroskał i kazał jej obiecać, że będzie z nim w stałym kontakcie. Niestety nie mógł oddelegować dodatkowego pracownika do pomocy, ale Tallie

przekonała go, że da radę, bo czuje się znakomicie. Tak było. Albo wkrótce miało być. Zaczyna się trzeci miesiąc, poranne mdłości lada dzień ustąpią. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Odkrycie, że skutkiem szalonej nowoorleańskiej nocy jest ciąża, było dla Tallie przełomowym momentem w życiu. Niezbyt jasno pamiętała, co się wówczas wydarzyło. No to teraz miała konkretny dowód.

Ojca dziecka na pewno nie uda się jej odszukać, więc początkowo była przekonana, że musi się pożegnać ze wszystkimi swoimi ambitnymi planami na przyszłość. Czy można brać udział w archeologicznych ekspedycjach z niemowlęciem przy piersi? Ale szybko pogodziła się z myślą o macierzyństwie. W końcu skoro innym kobietom udaje się łączenie pracy z samotnym wychowywaniem dziecka, to i jej się uda. Na pewno dopóki dziecko nie podrośnie, musi się pożegnać z myślą o dalekich wyprawach, ale to jeszcze nie znaczy, że skoro zostanie matką, to zmarnuje lata studiów.

Musi się skupić na dniu dzisiejszym. Jest zdrowa, szczęśliwa i zdecydowana znaleźć dowody na istnienie zapomnianego ludu, tak jak obiecała babci. Przynajmniej musi spróbować.

Na myśl o tym, że się uda, czuła ciarki na plecach. Tylko dlaczego babcia wyjawiała jej tę tajemnicę dopiero na łożu śmierci? I gdzie przez całe życie chowała mapę? Tallie w dzieciństwie spędzała dużo czasu w domu swojej *ipokini* i nigdy nie dostrzegła podobnego przedmiotu. Widocznie babcia miała swoje powody.

Trzeba pogodzić się z myślą, że pewne rzeczy nigdy się nie wyjaśnią.

Kurczowo ściskając w rękę urzędowy dokument zezwalający na prowadzenie poszukiwań, ponownie rozejrzała się wokół siebie. Sąd zadecydował, że właściciel terenu musi na okres trzech miesięcy wstrzymać wszelkie prowadzone na nim prace, by umożliwić jej odnalezienie w ziemi reliktyw przeszłości.

A więc do dzieła.

Nagle zerwał się wiatr, który rozwał jej włosy na wszystkie strony. Sięgnęła do kieszeni dzinsów po opaskę, dzięki której mogła uformować sobie na czubku głowy coś w rodzaju koka.

W oddali usłyszała warkot silnika.

Wkrótce nieopodal Tallie, która stała między chatą trapera a rzeką, wylądował helikopter. Od razu zgadła, kto przyleciał tym śmigłowcem. Cole Masters, miliarder i właściciel całego tego terenu.

Doktor Sterling przestrzegał ją, że ze strony tego człowieka może spotkać się z oporem. Masters miał opinię, hmm... trudnego.

Z helikoptera wygramolił się mężczyzna pokaźnych rozmiarów, barczysty, z bicepsami bez mała rozrywającymi podwinięte rękawy koszuli z białego jedwabiu. Guzik przy szyi miał rozpięty, luźno zwisał mu granatowy krawat. Miodowy brąz oczu w oprawie ciemnych rzęs. Krótко obcięte ciemnobrązowe włosy, gęsty zarost i mocna wysunięta szczęka nadawały mu wygląd wojownika.

Pełne usta były skrzywione na znak dezaprobaty, a oczy wpatrywały się w nią twardo. Szedł w jej stronę. A więc to jest ten wielki Cole Masters. We własnej osobie.

Tallie czuła, jak w miarę jego zbliżania się jej zawodowe nastawienie i w ogóle całe lata studiów i doświadczenia topnieją jak kostka lodu. Zaczerpnęła tchu i skupiła się na tym, dlaczego się tu znalazła. Chce robić wykopaliska o przełomowym naukowym znaczeniu. Nie może sobie pozwolić, by obezwładnił ją jego seksapil czy też plotki o jego zawziętości i arogancji.

Musi się zachować jak profesjonalistka.

- Cole Masters - przedstawił się i wyciągnął rękę.

- Doktor Tallie Finley z Muzeum Historii Naturalnej Teksasu Północnego - odparła, odwzajemniając gest.

Miał niesamowicie ciepłą, ogromną - tak to trzeba określić - łapę. Poczowała, jak przeszywa ją coś w rodzaju prądu i szybko cofnęła rękę.

- To pani - stwierdził, unosząc w zdziwieniu brwi i przyjmując zdecydowanie mniej agresywną postawę.

- Ach... tak. Ja to ja. A czego się pan spodziewał?

Wydał się jej dziwnie znajomy, ale za Boga nie potrafiła określić dlaczego. Podała mu plik dokumentów.

- Oto zezwolenie na zarówno powierzchniowe, jak i wnikające

w głąb ziemi badania zaznaczonego na mapie, zaakceptowanego wyrokiem sądowym terenu.

- Pani jest doktor Finley?

Ton głosu Mastersa stał się nagle mniej szorstki, pojawiła się w nim wręcz nutka sympatii. A ona, nie znając przyczyn tej zmiany, poczuła się bardziej nieswojo niż przed chwilą, gdy był do niej nastawiony wyraźnie wrogo. Co jest u licha? Może ma rozpiętą bluzkę? Albo plamę z owsianki, którą jadła na śniadanie?

- Owszem, to ja.

- Doktor Finley... - powtórzył w zamyśleniu, odchrząknął, po czym oddał jej papiery. - Widzi pani ten ciężki sprzęt? Jesteśmy w trakcie budowy. Sam projekt zajął nam lata. Ci ludzie, a jest ich dwudziestu pięciu, mają tu dziś wylać fundamenty. Jak może pani widzi, wstępny montaż instalacji hydraulicznych jest już zrobiony. Jak mamy dalej pracować, skoro pani w tym samym czasie będzie szukać czegoś, co - jak pani się wydaje - może się znajdować w tej ziemi?

Zawiesiła wzrok na jego ustach. Były takie pełne, takie ponętne. Z trudem przełknęła ślinę. Znów naszło ją niejasne wrażenie, że już gdzieś spotkała tego mężczyznę. Może to ten nieznamy, który ją uwiódł?

Nie, to niemożliwe, ci dwaj faceci różnią się od siebie jak dzień od nocy.

- Rozumiem, że dla pana to pewna niedogodność, panie Masters. Ale powody, dla których się tu znalazłam, są równie ważne. Może nawet bardziej. - Zauważyła, że cofnął się gwałtownie, kręcąc głową. - Szukam czegoś, co może znajdować się poniżej miejsca, gdzie chce pan wylać beton. No i tu mamy problem. Ta budowa może zniszczyć ważne elementy dorobku kultury. Jeśli teraz wycofa pan swoich robotników, postaram się szybko przeprowadzić moje badania, żeby jak najmniej krzyżować panu plany.

- I to wszystko? - Ich spojrzenia się spotkały, a ona poczuła dreszcz wędrujący w dół kręgosłupa.

Już gdzieś widziała te oczy. Ale gdzie?

- Mam zatrzymać swoje działania, żeby zejść pani z drogi? Na

mojej własnej ziemi?

Znów zaczął się złościć. Widziała, jak napinają się mięśnie jego szczęki. Brzmienie jego głosu też ją uderzyło. Przysięgłaby, że już go gdzieś słyszała. Ale to śmieszne, przecież nigdy nie obracała się w kręgu miliarderów.

- Zakładam, że sędzia wydający decyzję wiedział, kto jest właścicielem terenu. I raczej nie zmieni zdania. A jeśli pan zechce się odwołać do sądu wyższej instancji, zabierze to więcej czasu niż mój pobyt tutaj.

Chyba że znajdę ślady dawnej cywilizacji, pomyślała. Wtedy trzymiesięczny termin poszukiwań może ulec wydłużeniu. Nie chciała jednak teraz poruszać tej sprawy.

- Taaa... Sędzia mnie zna. A ja znam jego. Moi prawnicy się tym zajmą.

- Jasne. Ma pan do tego prawo.

Facet pewnie nie rzuca słów na wiatr, ale ona nie słyszała o przypadku unieważnienia przez sąd orzeczenia w podobnej sprawie. Miała ochotę uśmiechnąć się z przekąsem, wołała jednak nie prowokować przeciwnika. Żadnemu z nich dwojga nie jest w tym momencie potrzebna kłótnia. Samo jego przybycie wystarczająco opóźniło rozpoczęcie przez nią prac.

- Harvey, to jest doktor Finley! - krzyknął Cole do jednego ze swoich robotników. - Ma mapę terenu, który musi przeszukać, sąd jej na to zezwolił. Na czas określony. Oznakujcie ten obszar. W razie czego dzwoń do Michaela z biura geodezyjnego.

- Tak, proszę pana! - odkrzyknął Harvey, który nie wyglądał na przekonanego słowami swojego szefa.

- I będziecie musieli wycofać sprzęt. Zabezpiecz to wszystko na wypadek deszczu. Żadna maszyna nie ma prawa znajdować się na terenie jej... pracy. A betoniarki odeślij do firmy, skąd je wypożyczyliśmy. - Brygadzysta ponownie skinął głową na znak zgody. - A czego dokładnie pani szuka, pani doktor? - zwrócił się do niej, biorąc się pod boki. - Jakichś śladów Indian?

- Można tak powiedzieć.

W rzeczywistości miała nadzieję znaleźć coś o wiele ważniejszego, ale wobec jego konfrontacyjnego nastawienia nie zamierzała teraz rozwijać tematu. Z jej doświadczenia wynikało, że

im mniej gospodarz terenu wie o badaniach, tym mniej może im zaszkodzić.

- Właściwie staram się ustalić historię mojej rodziny, ale jeśli uda mi się coś odnaleźć, będzie to miało wielkie znaczenie dla Towarzystwa Historycznego Rdzennej Ameryki i dla Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego. Trzyma pan tu jakieś bydło? Muszę wiedzieć, żeby ewentualnie podjąć pewne środki ostrożności - ciągnęła.

- Nie. Do tej części posiadłości nie ma dostępu nic z żywego inwentarza.

Patrzył na nią przez zmrużone oczy. Nie mógł się powstrzymać od błędzenia wzrokiem po jej twarzy, przyglądania jej ustom, ciągłego omiatania spojrzeniem całej jej sylwetki, od stóp do głów. Teraz miał już pewność.

Tallie Finley jest tą piękną kobietą, z którą spędził noc w Nowym Orleanie. Nie ma co do tego wątpliwości.

Z trudem powstrzymał uśmiech zachwytu.

Ona go chyba jeszcze nie rozpoznała. Zapuścił zarost, miał na sobie garnitur oraz krawat i pewnie w jej oczach wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy. Ale on był pewien. Nigdy nie zapomni tych pięknych zmysłowych kształtów, tej zachwycającej twarzy, długich jedwabistych hebanowych włosów i charakterystycznej dla ludzi Południa wymowy polegającej na przeciąganiu samogłosek.

To o niej marzył i śnił przez ostatnie trzy miesiące. Chociaż wtedy, w ciemnościach, jej oczy nie były aż tak bardzo zielone. Teraz lśniły niczym dwa szmaragdy.

- Masz takie zielone oczy - wyrwało mu się.

Spojrzała na niego jak na wariata, po czym odwróciła się, nagle zirytowana.

- Czy kolor moich oczu jest aż tak ważny?

- Nie. Nie. Ja po prostu... zaskoczył mnie, to wszystko.

- Taaa... no cóż, mnie też wiele rzeczy zaskakuje.

Jasne, pomyślał Cole, nawet nie wiesz, jaka niespodzianka czyha na ciebie tuż za rogiem. Ale on poczeka. Zobaczy, ile czasu zajmie jej zorientowanie się, że to on....

Zdjęła z czubka głowy opaskę. Jej włosy w mgnieniu oka zamieniły się w szarpaną wiatrem ciemną, postrzępioną chmurę.

Boże, jaka ona jest piękna. Wysoka, szczupła, o głowę niższa niż on, wygląda na kruchą, a jednocześnie sprężystą i wytrzymałą. Miał wiedzę z pierwszej ręki, że taka właśnie jest. Jej postawa świadczyła o zdecydowaniu, wymuszała na innych szacunek. Czerń jej długich do pasa włosów lśniła w pełnym słońcu granatowym blaskiem. Wydatne kości policzkowe i błyszczące zielone oczy odznaczały się w lekko opalonej twarzy. W tych oczach można było utonąć. Ale wyrażały również determinację.

Ona tu nie przyjechała ot tak sobie, po nic. Widać, że jest gotowa walczyć o swoje prawo do poszukiwań dowodów na istnienie zapomnianego plemienia przodków, rdzennych mieszkańców Ameryki. Czy mężczyzna ma jakiegokolwiek szanse w starciu z tak silną motywacją? O ile oczywiście to wszystko prawda i ona naprawdę przybyła tu w tym celu.

- Czy coś jeszcze mogę dla pana zrobić, panie Masters?

- Dobre pytanie - odparł, podchodząc do niej na odległość nie większą od jednego kroku.

Poczuł ciepło jej ciała.

Odsunęła się.

- Jeśli nie, to przepraszam, mam dużo pracy.

Nie wierzył, że jeszcze kiedyś ją zobaczy, choć ciągle miał nadzieję. Nie mógł sobie wybaczyć, że tamtego sobotniego ranka nie zapytał, jak się nazywa i jak można się z nią skontaktować. To cud, że teraz ją rozpoznał w tym zielonym workowatym drellichu, z włosami upiętymi na czubku głowy. Ale to na pewno ona.

Będzie musiał opóźnić swoją budowę, ale ma to swoją zdecydowanie dobrą stronę.

Patrzył, jak zaplata włosy w długi warkocz. Nagle wydało mu się, że na świecie nie istnieje nikt oprócz ich dwojga. Oblała go fala gorąca. To było jak Nowy Orlean w wersji XXL. Pragnął jej do bólu.

Przed oczami przemknęły mu zapamiętane obrazy. Widział ją w łóżku, widział pościel zmiętą po tym, jak się kochali. Była wtedy szczęśliwa, jej twarz wyrażała pragnienie. Chciała więcej

i więcej, a on zaspokajał tę potrzebę. Trzymał w ramionach jej gorące i wilgotne ciało, starając się uspokoić swój oddech. Jej hebanowe włosy oplatały mu pierś. Tallie wyprzedzała wszystkie znane mu do tej pory kobiety o kilka długości. Kiedy znów będzie mógł wziąć ją w ramiona?

Bo teraz już wiedział, że odpowiedź na to pytanie raczej na pewno nie brzmi „nigdy”.

Zaczerpnął powietrza. Musi wziąć się w garść.

- W takim razie - zaczął ochryplym głosem, po czym odchrząknął - zostawiam panią.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku helikoptera. Ale nie uszedł nawet dziesięciu kroków, gdy coś kazało mu się zatrzymać i zapytać:

- Czy pani przypadkiem nie była kiedyś w Nowym Orleanie, doktor Finley?

- Owszem, byłam, nawet studiowałam. Spędziłam tam sześć lat. A dlaczego pan pyta? - odparła zdziwiona.

- Po prostu przypomina mi pani kogoś stamtąd - odparł i wzruszył ramionami.

A więc zasiał ziarno. Ciekawe, kiedy wzejdzie.

- Dzięki za miłe sąsiedzkie powitanie - mruknęła pod nosem, zwracając się w stronę swojego wysłużonego forda. Co za dziwny człowiek.

Nie potrafiła jednak przejść do porządku dziennego nad sygnałami, jakie wysyłała jej podświadomość.

Ty go znasz! Co za absurd. On jeździ po całym świecie, jego majątek liczy się w miliardach, podczas gdy ona grzebie się w ziemi i z trudnością ciuła tysiąka na koncie bankowym. A jednak nie mogła pozbyć się wrażenia, że się kiedyś już widzieli.

A co miało znaczyć to pytanie o Nowy Orlean? W czasie studiów praktycznie nie opuszczała kampusu i rzadko spotykała kogoś spoza uczelni.

Dopiero po obronie pracy wypuściły się z Mac i Ginger w miasto. Poznała przystojnego nieznajomego. Ale to nie mógł być Cole Masters. Tamten to miły i wcale nie arogancki facet. I na pewno jego stan posiadania był miliony razy skromniejszy od

majątku Cole'a. Nie stać go było nawet na porządne ciuchy.

Postanowiła więcej o tym nie myśleć i zaczęła rozpakowywać furgonetkę. Na pewno w końcu samo się jej przypomni.

Postanowiła część swoich rzeczy złożyć w traperskiej chacie. W końcu stoi ona na terenie objętym nakazem sądowym, ma więc prawo ją użytkować. Jeśli Mastersowi się to nie spodoba, zawsze może rozstawić namiot.

Po bliższych oględzinach szafas okazał się bardziej wytrzymały niż na pierwszy rzut oka. Był tam piecyk na drewno i podwójne łóżko. Stary, wypchany bawełną i łupinkami orzeszków ziemnych materac nie grzeszył może czystością, ale trudno. W dachu i w podłodze były dziury, jedyne okno nie miało szyby, ale Tallie zaliczyła w swoim życiu bardziej spartańskie obozowiska. W końcu przywiozła z sobą śpiwór. Da radę.

Tyle że teraz była w ciąży. Lekarz nie zabronił jej wyjazdu, uznał jej stan za znakomity. Ale jednak prosił, by na siebie uważała. Nie wolno jej przesadzić.

Gdy się rozpakowywała, buldożery zostały wycofane, a granice terenu oznaczone czerwonymi chorągiewkami. Obszar okazał się bardziej rozległy, niż pierwotnie myślała. Jak następnym razem pan Masters przyleci tu na przeszpiegi, co nastąpi - na ile znała właścicieli ziemskich - najpóźniej za trzy dni, będzie mu musiała podziękować.

Rozejrzała się po terenie i wyznaczyła sobie plan poszukiwań. Zdecydowała, że zacznie od okolic urwiska.

Wróciła do samochodu po ostatnie elementy ekwipunku. Na dole sterty spoczywał jej stary namiot. Pewnie jest rozdarty i dziurawy w kilku miejscach, trzeba go naprawić. Ale teraz nie mogła się doczekać, aż zacznie kopać. A na razie będzie nocować w rozpadającej się chacie. W końcu pan Masters jej tego nie zakazał.

Wzięła szpulę pomarańczowego sznurka, kilka drewnianych kołków i młotek. Im szybciej zacznie, tym szybciej wypełni daną babci obietnicę i będzie mogła wrócić do muzeum.

Nie była przyzwyczajona do pracy w pojedynkę, ale doceniała panującą wokół ciszę. Masters niech sobie znajdzie inne zajęcie, zamiast przyjeżdżać tu i jej przeszkadzać. Nie potrzebowa-

ła teraz ani zawołanych pogrózek, ani seksualnego magne-
tyzmu, który tylko przyspieszał bicie jej serca i obniżał zdolność
racjonalnego myślenia, z którego była znana.

Wbiła pierwszy palik w ziemię, potem następny. Do zachodu
słońca wydzieliła za ich pomocą obszar o powierzchni około stu
metrów kwadratowych, który następnie podzieliła na mniejsze
kawałki, rysując coś w rodzaju siatki. Udało się jej przekopać
pierwsze cztery prostokąty. Jutro przyniesie małą łopatkę i sito.
W ten sposób, miała nadzieję, będzie krok po kroku zbliżać się
do wielkiego odkrycia.

Zebrała narzędzia, wróciła do chaty, rzuciła młotek i kołki na
ziemię przed drzwiami i spojrzała na łóżko. To będzie dłuuga
noc.

Cole szedł z lądowiska helikopterów do domu, wściekając się,
że jakieś głupie wykopaliska mogą być ważniejsze od jego pro-
jektu. Już mieli lać beton na fundamenty, a tu nikt inny jak za-
przyjaźniony z nim sędzia swą decyzją powstrzymał całe przed-
sięwzięcie.

Nie do wiary. Jeszcze trudniej było mu uwierzyć, że jego
prawnicy potwierdzili, że z takim nakazem sądowym nic nie da
się zrobić. Jedynym światełkiem w tunelu była możliwość po-
znania bliżej tej nieodparcie uroczej kobiety.

Od skończenia studiów wszystkie swoje wysiłki skupił na roz-
woju rodzinnej firmy, na uczynieniu ze spółki Masters Corpora-
tion wiodącej potęgi w dziedzinie nieruchomości, jeśli nie w ca-
łych Stanach Zjednoczonych, to na pewno w stanie Teksas.

Pracował dniami i nocami. Spędził niezliczoną ilość godzin
w samolotach, uczestniczył w tysiącach spotkań. I nie robił tego
na własny rachunek. Liczyła się renoma rodzinnego biznesu.
Dopiero najnowszy projekt – budowę światowej klasy ośrodka
wypoczynkowo-szkoleniowego dla firm z listy Fortune 500 – fir-
mował własną twarzą.

Chciał nareszcie sprawdzić się w całkowicie samodzielnym,
pozbawionym rodzinnego zaplecza działaniu. Udowodnić swoją
wartość braciom i – co może nawet ważniejsze – sobie samemu.
W wieku trzydziestu czterech lat chciał nareszcie móc powie-

dzieć: JA to zrobiłem. Nie chodziło o pieniądze, a o poczucie spełnienia i dumę zawodową.

Planował to latami i oto zbliżał się do końca. Liderzy biznesu i przedsiębiorczości na całym świecie otrzymali już folder reklamy. Do wspóln inwestowania zaproszono prominentnych szefów firm z USA. Jaką naiwnością wykazał się, uważając, że już nic nie stanie mu na przeszkodzie!

Wszystko zawsze mu się udawało. Jediną osobą na której się zawiódł, była jego ekszona, która go zdradziła. Gdyby miesiąc temu ktoś mu powiedział, że jego wielomilionowy projekt zostanie zastopowany przez drobną kobietę, która pomacha mu przed oczami świstkiem papieru, roześmiałyby mu się w nos.

Teraz jednak nie było mu do śmiechu. Może działania tej kobiety to celowy sabotaż ze strony konkurencji? Może ktoś ją nasał? A może ona sama oczekuje od niego jakichś korzyści majątkowych? Przecież musi wiedzieć, kim on jest. A kobiety potrafią być perfidne, przekonał się o tym trzy lata temu.

Z byłą żoną przeżył piekło. Zdrady, rzekoma ciąża, szantaż. To normalne. Ale żeby udawać, że szuka się relikwii przeszłości akurat na terenie budowy jego hotelu? To już wyższa szkoła jazdy.

Ile jej zapłacono za sabotowanie jego przedsięwzięcia? Czy upatrzyła go sobie już w Nowym Orleanie? A może jednak jest z nim szczerą i uczciwą?

Gdy tylko przekroczył próg rancza Circle M, złapał za telefon i zadzwonił do szefa ochrony w siedzibie spółki w Dallas.

- Jonas? Posłuchaj, muszę dostać pewne informacje o kobiecie. Jakie? Wszystko: kiedy wypadł jej pierwszy mleczny ząb, jakie miała koleżanki w liceum, z kim chodziła w czasie studiów... Masz się przyjrzeć wszystkiemu, nawet najmniejszym szczegółom. Nazywa się doktor Tallie Finley. Podaje się za archeologkę z Muzeum Historii Naturalnej Północnego Teksasu. Nic więcej o niej nie wiem.

- Wystarczy - odezwał się głos w słuchawce. - Jak skończę, prześlę ci wszystko mejlem.

- Lepiej zadzwoń, jak już coś będziesz wiedział. Na ten numer.

- Robi się.

Cole wsunął telefon do kieszeni. Tak, ona na pewno szuka czegoś więcej niż zakopanych staroci. Ciekawe czego i jak zamierza się do tego zabrać.

Po raz pierwszy od lat pomyślał o Ginie. Ożenił się z nią, mając błogosławieństwo swojego ojca. Ufał jej. Ale już po roku pojawiły się sygnały ostrzegawcze. Kłamstwa. Znikanie z domu na całe popołudnia i wieczory. Pieniądze z konta - i to sumy rzędu dziesiątek milionów dolarów - dematerializowały się w ekspresowym tempie.

Dziwne zachowania ojca, który radził niczym się nie martwić. W końcu Cole zlecił śledztwo szefowi ochrony w firmie i dowiedział się wszystkiego. Wdała się w romans, była w ciąży. Cole był raczej pewien, że to nie on jest ojcem. Ale dziecko nigdy nie przyszło na świat. Zginęło wraz z Giną owej feralnej nocy, gdy na mokrej szosie straciła panowanie nad kierownicą. Wcześniej Cole kazał się jej wynosić.

Przybycie doktor Finley i związane z nim dziwne zbiegi okoliczności przywiodły mu na myśl oszustwa zmarłej żony. Czy doktor Finley też z nim pogrywa? W zasadzie jej o to nie podejrzewał, ale nie zamierzał siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż zniszczy jego plany.

ROZDZIAŁ TRZECI

Trzy dni po spotkaniu Cole nadal nie mógł pojąć, jak to się stało, że doktor Finley zawładnęła częścią jego ziemi. Ucieszył się, gdy mu doniesiono, że zamieszkała w traperskim szałasie. Takie warunki dadzą jej w kość, szybciej się stąd zmyje. We wszystkich doniesieniach o niej powtarzało się to samo: cały dzień pracuje, wieczorem myje się w rzece, a potem znika w chacie.

Jego szpiedzy musieli coś przeoczyć. Nocami na pewno się wymyka i szuka Bóg raczy wiedzieć czego. Sam musi to sprawdzić.

Długo przyglądał się jej życiu przez lornetkę i stwierdził, że jego pracownicy nie kłamią. Od wschodu do zachodu słońca pracowała, potem zanurzała się w zimnym nurcie rzeki – wtedy trudno mu było oderwać wzrok od ponętnych krągłości – a na koniec znikała we wnętrzu szałasu, gdzie prawdopodobnie przesyiała całą noc.

Była cholernie pracowita, trzeba jej to przyznać. Ale przez trzy tak absurdalnie spędzone dni najwyraźniej jej poszukiwania nie przyniosły żadnego skutku. A jego ciężki sprzęt wciąż stał beczynnie.

Nazajutrz zadzwonił człowiek odpowiedzialny w jego firmie za bezpieczeństwo, informując, że nie znalazł na temat doktor Finley niczego, do czego można by się przyczepić. Zero pretekstów, żeby się jej pozbyć. Przez całe życie nie dała najmniejszej plamy. Pilnie się uczyła, otrzymywała nagrody rektorskie, zrobiła magisterium i doktorat. Matka nauczycielka pochodziła z rodziny irlandzkiej, ojciec z plemienia Czoktawów. Był archeologiem i cztery lata temu został zamordowany w trakcie prac wykopaliskowych w Brazylii. Rok temu doktor Finley zerwała ze swoim partnerem, profesorem anglistyki.

Jak to możliwe, żeby w naszych czasach mieć tak nieprzyzwo-

icie czystą kartę?

Może spróbuje odbyć z nią czysto biznesową, pozbawioną emocji rozmowę? Może mu się uda wytłumaczyć, jakim problemem jest dla niego jej obecność? Nie tracąc czasu, wskoczył do pikapa.

Odnalazł ją bez trudu. Zamiatała ziemię czymś w rodzaju pędzelka. Spojrzała na niego i zaraz ponownie zabrała się do pracy. Była już w połowie wyznaczonego sobie pokratkowanego terenu. Pracowała powoli i metodycznie, delikatnie rozgarniając ziemię, a potem czyszcząc znaleziska, które wydawały się jej w jakiś sposób obiecujące.

Na czworakach, z wypiętym tyłeczkiem, pochylała się nad jakimś zagłębieniem. Było na co popatrzeć. Miała cudowne pośladki. Niedbale związane włosy przydawały jej seksownego wyglądu. Twarz miała umazaną kurzem i niewiele kobiet w takich warunkach wyglądałoby pociągająco. Ale doktor Finley nie dbała o wygląd. Była całkowicie oddana swojej pracy i to było cudowne.

- Doktor Finley, co u pani słyhać?

- W porządku - odparła, łypiąc na niego podejrzliwie.

- Rozumiem - odchrząknął - że to pani kopanie... te pani badania to coś ważnego. - Niezręcznie przemawia się do czyjejś pupy. - Ale prawda wygląda tak, że kiedy pani tu się zabawia jak w piaskownicy, ja dzień w dzień tracę tysiące dolarów.

- Bardzo mi przykro, wielka szkoda.

Nie zabrzmiało to szczerze.

- Rzecz w tym, że muszę skończyć to, co zacząłem.

- Jeśli opóźnienie tej budowy jest dla pana takie kosztowne, to może powinien pan rozpocząć ją w innym miejscu - zasugerowała rzeczowo, nie podnosząc wzroku.

- To niemożliwe - parsknął. - Kanalizacja jest już zainstalowana, deskowanie wykonane. Cały projekt jest związany z tym konkretnie miejscem. Nie można go, ot tak sobie, przenieść.

- A jeśli ja znajdę coś obok pańskich fundamentów, to te fundamenty trzeba będzie wyrywać. Musi pan odczekać jakieś trzy miesiące, może nawet mniej. - Spojrzała do góry i pochwyciła jego wzrok. - Zapewne działając tak długo w biznesie, zdążył

się pan przekonać, że nie zawsze wszystko idzie zgodnie z planem.

Cole poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Było to tym bardziej frustrujące, że ta kobieta niesamowicie pociągała go w sensie fizycznym.

- Mamy podstawy sądzić, że w tej ziemi spoczywają pozostałości starodawnej cywilizacji - ciągnęła. - Nie po to przetrwały tyle tysiącleci, żeby w XXI wieku ktoś je zniszczył, bo buduje... coś, co się tam panu zachciało budować.

Wzięła do ręki miękką szczotkę i zaczęła nią machać nad kolejnym kawałeczkiem gruntu.

- Doktor Finley - mruknął Cole - muzea są pełne obrazów i wytworów rzemiosła wszelkiej maści. Czym pani znaleziska będą się od nich różnić? Dlaczego ja mam płacić za nie taką cenę? Jeśli coś czekało w ziemi przez tysiące lat, to może poczekać jeszcze trzy miesiące. Chyba że pani szuka czegoś, o czym nie chce mi powiedzieć.

Gwałtownie wstała i upuściła szczotkę. Zdjęła rękawice i rzuciła nimi o jego ubrane w dżinsy nogi.

- Już raz czy nawet dwa razy panu tłumaczyłam, dlaczego musi pan wstrzymać budowę. Dlaczego miałabym coś ukrywać? I co? Pan myśli, że szukam złota? Czy jakiegoś hiszpańskiego skarbu? Skrzyni zakopanej przez Jesse Jamesa?

To już było złośliwe.

- Otóż zapewniam pana, że nie. Gdyby tak było, znalezione skarby natychmiast bym panu oddała. No i powiadomiłabym urząd podatkowy. A im dłużej będzie pan tak stał nade mną i mnie nękał, tym wolniej będę pracować i opóźnienia będą się zwiększać. Proszę mi wierzyć, że to nie służy żadnemu z nas.

- W porządku. - Spojrzał na nią. - Niech tak będzie. Ale proszę nie oczekiwać żadnej pomocy ode mnie ani od moich pracowników.

Odwrócił się i poszedł do swojego samochodu.

Gdy kładła się spać, spod łóżka dobiegły odgłosy drapania. Pewnie szczury albo susły. A może szop? Tallie poszła w drugi kąt szafasu.

- Idź sobie! A kysz!

Znalezionym w kącie patykiem postukała w nogi łóżka. Przez otwarte drzwi chaty czmychnęły dwa skunksy, na szczęście nie zdążyły zostawić swojego zapachu. Schyliła się i sprawdziła, czy pod łóżkiem nie ukrywają się jeszcze jacyś goście. Ale niczego nie dostrzegła.

Westchnęła i drząc, udała się do kabiny swojego forda w nadziei, że znajdzie coś do podparcia drzwi, żeby się tak bez przerw nie otwierały. Po kilku krokach trafiła stopą w niewielki dołek i straciła równowagę. Żeby nie upaść, przytrzymała się zwiśniętej gałęzi drzewa. I natychmiast poczuła dotyk olbrzymiej pajęczej sieci. Przestraszona zaczęła zdejmować jej lepkie resztki z włosów i ubrania. I wtedy poczuła, że coś chodzi jej po plecach.

Krzyknęła. Na ogół nie miała nic przeciwko żyjątkom, ale od dzieciństwa bała się pajaków. W panice ściągnęła podkoszulek i zaczęła wycierać sobie plecy. Wtedy coś zaczęło ją łaskotać pod dzinsami. Z krzykiem rozpięła zamek i spuściła spodnie. I wtedy na dobre straciła równowagę, upadając na stertę suchych zeszłorocznych liści. Przewróciła się na plecy i usiłowała pozbyć się pętających jej kostki dzinsów.

Gdy jej się to udało, ujrzała obok siebie Cole'a. Przyklął i z trzymając w obu rękach wycelowaną broń, lustrował wzrokiem teren.

- Co tu się u licha dzieje? - krzyknął.

- To... pajak.

- Co takiego?

- P-pajak - wyszlochała, świadoma, że prawie naga siedzi na ziemi, na gałęzi wisi jej T-shirt, a spodnie walają się gdzieś nieopodal. Co do butów to nie miała pojęcia, co się z nimi stało.

Cole westchnął głęboko i wepchnął broń do kieszeni.

- Wstawaj - rozkazał, łapiąc ją za ramię i pomagając się podnieść.

Z kieszeni wyciągnął małą latarkę i sprawdził, czy Tallie nie ma czegoś we włosach. A potem przesunął swoją wielką dłoń po jej plecach. Potem obrócił ją przodem i latarką oświetlał kolejno jej twarz, szyję, i dekolt. Na szczęście nie zdjęła biustono-

sza.

Jego twarz nie straciła beznamiętnego wyrazu, nawet gdy oglądał jej brzuch i nogi.

- Nic nie widzę - oświadczył. - A może zanocujesz u mnie?

Zdjął z gałęzi jej podkoszulek, podniósł z ziemi dżinsy, otrząsnął starannie i jej podał.

- A gdzie buty?

- N-nie mam pojęcia.

Podniósł ją i bez słowa zaczął prowadzić w kierunku swojej półciężarówki. Tallie automatycznie objęła go za szyję. Tylko raz w dotychczasowym życiu spotkała tak wspaniale umięśnionego mężczyznę.

Masters przypomina tamtego faceta z Nowego Orleanu. Ma te same eleganckie ruchy i dźwiga ją, jakby ważyła tyle co piórko. Ciepło jego ciała rozgrzało jej plecy, ręce i nogi. Pachniał hikorą i jeszcze czymś, korzennie i zmysłowo. Znów pojawiło się niejasne przekonanie, że już gdzieś go musiała spotkać. Ale to przecież niemożliwe.

Zrobiło się jej głupio. Spanikowała z powodu pająka? Musi koniecznie zwalczyć wszelkie swoje fobie.

Kilka kroków przed samochodem Cole zatrzymał się. Tallie zamarła w oczekiwaniu na reprimendę. On jednak milczał. Patrzył na nią z mieszaniną troski i czegoś jeszcze w oczach. Miał takie pełne usta...

Przez moment pomyślała, że chce ją pocałować i wstrzymała oddech. Ale on otworzył drzwi i posadził ją na miejscu dla pasażera. Zasłaniała się od przodu swoimi kurczowo trzymanymi w rękach ubraniami.

Po kilku minutach Cole zaparkował samochód. Przechodząc obok wielkiego basenu z kaskadą wodną, dotarli do jego domu. Budynek był przeogromny. W pokoju dziennym można by urządzić lądowisko dla helikoptera i jeszcze starczyłoby miejsca na inne rzeczy. Ściany wyłożono drewnem, a olbrzymi kamienny, wysoki na dwie kondygnacje kominek stanowił naturalną ścianę między salonem a kuchnią.

Tallie szła za gospodarzem po schodach. Na piętrze Cole otworzył drzwi do jednego z pomieszczeń na końcu długiego

korytarza i znaleźli się w pokoju, którego piękno trudno było wyrazić słowami. Cały w tonacji kremowo-mahoniowej. Podwójne, kunsztownie zdobione łoże z baldachimem dopełniało całości.

- Ręczniki, szampony i sole do kąpielii znajdziesz w szafie. Jak skończysz, zejź na dół. Nie śpiesz się, Andre dopiero zaczął szykować kolację.

Skinęła głową i podziękowała. Dojrzała w jego oczach figlarne ogniki. Usta ściągnała, jakby chciał powstrzymać uśmiech.

Z łazienki mogłoby równocześnie skorzystać chyba z dziesięć osób. Skomplikowane głowice, pozwalające zamienić zwykłą kąpiel w saunę, brązowe marmury, szafki pełne wszelkiego kąpielowego dobra, nie wyłączając stosu czarnych i granatowych T-shirtów w rozmiarze XXL.

Chętnie w ogóle nie wychodziłaby z tej łazienki, ale nie chciała nadużywać gościnności. Jedynym odstępstwem od skromności było skorzystanie z jednego z sięgających jej do kolan podkoszulków. Nie chciała wkładać swoich brudnych ciuchów, tym bardziej że nie była pewna, czy nie kryją w sobie pajaka. Po zrobieniu jakiego takiego porządku zeszła na dół.

Usadowiła się na gigantycznej kanapie, zamknęła oczy i usiłowała się zrelaksować. Nagle poczuła mdłości. Pędem pognęła z powrotem do łazienki i stanęła nad sedesem. Nienawidziła tych niespodziewanych ataków. Na szczęście wkrótce powinny się skończyć.

Doktor Sterling w trosce od jej zdrowie usiłował ją odwieść od zamiaru prowadzenia teraz wykopalisk, ale przecież nie mogła złamać danego babci przyrzeczenia. Zresztą mdłości dopadłyby ją, gdziekolwiek by się teraz znajdowała.

Wyplukowała usta, umyła zęby. No, na dzisiaj chyba dość.

Za swój stan nie mogła winić nikogo poza sobą samą. Tak to bywa, gdy w stanie nieważkości spotyka się w Nowym Orleanie mężczyznę swojego życia. A jej się to właśnie przydarzyło.

Jedno nie dawało jej spokoju. Dlaczego ten facet zmył się jeszcze przed świtem, nie dając jej szansy na poznanie swojej tożsamości? Za kogo się ma, że tak ją potraktował?

Cole czekał na nią.

- Mógłbyś odwieźć mnie z powrotem?

- A co, źle się poczułaś? Na pewno nie chcesz zostać? Tu jest mnóstwo miejsca.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Nie obraż się, ale wolę swoją małą chatkę. Jeśli nie masz czasu, pójdę na piechotę.

- Na piechotę? Przez pola i lasy? Może zaatakować cię kolejny pająk albo nadepniesz na węża - powiedział, kręcąc głową. - Skoro nalegasz, to chodźmy.

Z małą plastikową torbą, w której schowała swoje ciuchy, poszła za Cole'em do samochodu.

- Mieszkanie w takiej ruderze jest teraz dość niebezpieczne - tłumaczył jej. - Wróc tu jesienią, wtedy będzie chłodniej i to całe robactwo zrobi się mniej aktywne.

Jesienią to ona będzie niańczyć swojego niemowlaka. Zresztą on powiedział to tylko po to, by ją skłonić do wyjazdu. Ale ona nie da się stąd wygonić.

Następnego ranka zaledwie zdążyła się ubrać, gdy od strony wykopaliska dobiegł ją gwar męskich głosów. Wyszła przed szalasy i zobaczyła trzech mężczyzn z łopatami. Zanim do nich dobiegła, oni już zaczęli kopać.

- Stop! Proszę przestać! - krzyknęła. - Co panowie robią? Kim jesteście?

Jeden z mężczyzn zdjął kapelusz.

- Jesteśmy zatrudnieni na ranczu Circle M. Cole przysłał nas, żebyśmy pani pomogli. Kazał nam kopać w wyznaczonym przez panią miejscu.

- Ale jeśli nie będziecie wystarczająco ostrożni, możecie zniszczyć przedmioty, które mają setki, jeśli nie tysiące lat. Rzeczy, których szukam, są bardzo... stare i delikatne.

- Robimy, co nam kazano, proszę pani. - Jej rozmówca spojrział na towarzyszy, którzy wzruszyli ramionami.

- I dopóki nasz szef nie zmieni zlecenia, będziemy kopać - wyrwał się następny.

- Ale to śmieszne! - zwróciła się do trzeciego mężczyzny, który wyglądał na najstarszego. - Pójdę do pana Mastersa i poroz-

mawiam z nim. A w tym czasie proszę tu nie kopać.

- Nie wiem, czy jeszcze zastanie pani Cole'a, miał lecieć do Dallas. Ale zaczekamy godzinę czy coś koło tego, żeby miała pani szansę z nim porozmawiać. A potem nie mamy wyboru. Musimy robić, co nam kazał.

Pobiegła do forda. Powie Mastersowi, gdzie dokładnie może sobie wsadzić swoje polecenia. Normalnie prowadziła bardzo ostrożnie, ale tym razem nie zdejmowała nogi z gazu i stary samochód zygzakiem dotarł do utwardzonej drogi wiodącej na wzgórze, gdzie stała rezydencja. Jak on mógł zrobić jej coś takiego?

Gorączkowo dzwoniła do drzwi. W końcu otworzyła gospoia, która powiadomiła ją, że pan Masteres właśnie wyszedł i pokazała palcem, jak dojść do pasa startowego, który mieści się za stajniami.

- Jak się pani pośpieszy, może go jeszcze złapie.

Rzuciwszy przez ramię słowa podziękowania, Tallie wróciła do auta i szybko ruszyła we wskazanym kierunku. Obok prywatnego pasa startowego zobaczyła hangar z maszynami. Najwyraźniej tylko jedna z nich była przygotowywana do lotu - na pasie stał helikopter z napisem MASTERS CORPORATION.

Podeszła bliżej i za sterami dostrzegła Cole'a. Robił jakieś notatki i nie widział jej. Śmigło było już wprawione w ruch, więc Tallie nie traciła czasu. Podbiegła do maszyny i otworzyła drzwiczki.

Twarz Cole'a wyrażała mieszaninę zdumienia, frustracji i złości. Tallie spojrzała na niego i gdyby można było zabić wzrokiem, już by nie żył. Zgasił silnik i śmigło zatrzymało się. Ściągnął z głowy hełmofon, rzucił go na sąsiednie siedzenie i wysiadł. Nie wyglądał na zadowolonego.

Ona zresztą też nie.

- Co ty do licha wyprawiasz? - powiedział.

- O to samo mogłabym zapytać ciebie.

- Przecież to śmigło mogło cię zabić.

- Tak bardzo się o mnie troszczysz? - zawołała, zaciskając pięści. - Przysyłasz trzech swoich ludzi, którzy niszczą moją pracę, a sam wymykasz się chyłkiem, żebym nie mogła zaprote-

stować. Aż tak nisko upadłeś, Masters?

- Chciałem ci pomóc - zaoponowałem. - I nie mam zwyczaju wy-
mykać się chyłkiem.

Strzał w dziesiątkę, mogła powiedzieć. Przeszedł do defensy-
wy, a to już dobry znak.

- Tłumaczyłam, że wydobywanie czegokolwiek z ziemi wymaga
czasu i cierpliwości. Posiekasz na kawałki przedmiot, który ma
pięć tysięcy lat i po zabawie. Jeśli do tego dojdzie, cała moja
praca, a także opóźnienie twojego projektu, zdadzą się psu na
budę.

- Z moim opóźnieniem już coś takiego się dzieje, jak sądzę.

- Nie rozumiesz tego, nie chcesz zrozumieć, czy nie potrafisz?

- Doktor Finley...

- Zrobiłeś to celowo. O mało nie zniszczyłeś bezcennych hi-
storycznych obiektów. Nawet nie powiedziałeś swoim ludziom,
o co tu chodzi. Tylko żeby kopali. Swoje firmy prowadzisz tak
samo niechlujnie?

To chyba ugodziło go w samo serce. Zmrużył oczy, zaczął ru-
szać szczęką. Chyba nawet niechcący przygryzł sobie język.

- Czego właściwie chcesz, doktor Finley? Już jestem spóźnio-
ny na spotkanie w Dallas.

- Jeszcze pytasz? - Wybuchnęła sarkastycznym śmiechem. -
Trzech kowboi z łopatami przerzuca ziemię w miejscu badań ar-
cheologicznych. Każ im przestać i niech sobie idą. Mam ci to
napisać na kartce? Prowadzić cię za rączkę? A oni niech napra-
wiają płoty, podkuwają konie czy co tam jeszcze.

Cole pokręcił głową, nie starając się już ukryć niechęci.

- Okej. Zejdź z pasa startowego, a ja każę im przestać kopać.

- Muszę się przekonać, że to zrobisz.

- Jasne.

Miała gdzieś jego drwiący ton. Nie do końca przekonana, że
może mu zaufać, opuściła lądowisko, ale ciągle miała go na
oku. Po chwili śmigłowiec wzniósł się w powietrze i poleciał
w stronę wykopalisk. Wylądował, Cole porozmawiał z robotni-
kami, a ona w tym czasie zaparkowała przed szalasem.

Zobaczył ją i wskoczył do helikoptera, zanim zdążyła tam
dojść. Maszyna wzbiła się w powietrze i z rykiem silnika oddali-

ła w kierunku Dallas.

Mężczyźni pakowali swoje szpadle i inne narzędzia do dostawczaka, którym przyjechali. Pożegnali się z nią zdawkowym „madam” i po chwili Tallie została sama.

Nie wierzyła w dobre intencje Cole’a. Na pewno nie chciał jej pomóc, raczej sabotował jej poczynania, żeby się jak najszybciej wyniosła. Chce wojny, to będzie ją miał. Przez niego nie napiła się porannej herbaty, a to dla niej niewybaczalne odstępstwo od codziennych rytuałów. Wzięła łopatkę, by sprawdzić, czy w zrytej przez kowbojów ziemi nie było nic cennego.

Po dłuższym czasie przekonała się, że niefachowe kopanie nie spowodowało żadnych szkód. Całe szczęście. Odsiała wprawdzie trochę grotów strzał, fragmentów ceramiki i kilka paciorków, ale wszystkie one były zbyt „młode” na to, aby przypisać je zaginionemu, poszukiwanemu przez nią plemieniu.

Oczywiście wszystkie znaleziska starannie obfotografowała i opisała w ewidencji, bo a nuż się myli? Nie sądziła jednak, by te przedmioty były zbyt cenne.

Słońce kryło się za wzgórzami, gdy wracała do chaty. Jutro będzie musiała rozrysować nową siatkę poszukiwań. Zdjęła buty i rzuciła się na rozklekotane łóżko. Zanim zasnęła, pomyślała tylko, jakie niespodzianki szykuje dla niej na jutro Cole Masters.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Z głębokiego snu wyrwało ją bardziej jakieś przeczucie niż hałas. Otworzyła oczy i stwierdziła, że dopiero zaczyna świtać. Poczowała na sobie czyjś wzrok. W drzwiach stała krowa. Zanim Tallie zdążyła naciągnąć dzinsy, następny krowi łeb pojawił się w jej drzwiach. A potem trzeci.

- Sio! - wrzasnęła, tupiąc na jałówki. Bezskutecznie.

Dopiero gdy pomachała kawałkiem tektury, wycofały się. Wskoczyła w dzinsy i w buty gotowa do walki. Wokół szopy kłębiło się stadko złożone z co najmniej dziesięciu krów. Tallie porwała z łóżka białe prześcieradło.

Machanie nim, okrzyki „sio!” i „wynocha!” w końcu spowodowały reakcję. Zwierzęta oddaliły się od szałasu w kierunku ogrodzenia.

Sprzątanie po ich wizycie zajęło jej mnóstwo czasu. Jedno wiedziała na pewno: to sprawka Cole'a Mastersa.

Siedziała pod rozwalającym się okapem i zwijała w kłębek pomarańczową linkę, gdy usłyszała silnik nadjeżdżającego pikapa.

- Dzień dobry, doktor Finley - powiedział Cole. - Jak się pani dzisiaj miewa?

Wzruszyła ramionami.

- Niedawno do obory dotarł mniej więcej tuzin pokaleczonych jałówek - ciągnął. - Wygląda na to, że podrapały się, przeciskając przez otwór w ogrodzeniu z drutu. Pewnie nic ci o tym nie wiadomo?

Znów wzruszyła ramionami.

- Nie, choć byłam tutaj cały czas. Ale przecież zapewniałeś, że żadne krowy nie mają tu wstępu.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Zgadza się, tak mówiłem.

- Gdybym zobaczyła tu jakąś krowę, na pewno dałabym ci znać.

- Mam nadzieję - odparł bez przekonania. - Co się stało z twoim sznurem?

Wzruszyła ramionami.

- Poplątał się - stwierdziła oczywisty fakt. - A ty co? Masz urlop? Odkąd tu jestem, może ze dwa razy robiłeś coś, co jest związane z twoją pracą.

- Myślisz, że aby pracować, muszę jeździć do Dallas?

- Dallas, Nowy Jork... Przecież wszędzie tam masz biura. - Znów wzruszyła ramionami. - Po prostu dziwię się, że znajdujesz czas na bieganie za krowami i przysyłanie mi swoich ludzi do pomocy. To chyba niezbyt opłacalne działania?

Odłożyła na bok kłębek sznurka, oparła się o jeden z palików podtrzymujących zadaszenie i spojrzała na niego.

- Na dzisiaj miałem zaplanowane doglądanie początków budowy, ale ona, jak wiesz, uległa... opóźnieniu. No więc mam trochę czasu, żeby sprawdzać postępy twoich prac. A ty tu sobie siedzisz i zwijasz sznurek. Nie powinnaś przypadkiem w tym czasie przeczesywać terenu grabkami?

Nozdrza Tallie rozszerzyły się ze złości. Uchodziła za raczej spokojną osobę, ale w tej chwili była zdolna walnąć go po głowie za wszystkie głupie sztuczki, które miały ją skłonić do rezygnacji z poszukiwań.

- Wszystko w swoim czasie. - Spojrzała na niego z uśmiechem. - I ostrzegam: jestem uparta i raczej wytrzymała.

Mruknął coś niezrozumiale pod nosem i oddalił się w kierunku samochodu. A Tallie poklepała samą siebie po ramieniu. Kolejne zwycięstwo.

Mijały tygodnie, a wciąż nie mogła znaleźć śladów starożytnego plemienia. Była rozgoryczona, męczyły ją ciągłe mdłości, które teraz dla odmiany nawiedzały ją po południu.

Pewnego ranka w piątym tygodniu prac Tallie przeciągała się i ziewała na widok wschodzącego nad wzgórzami słońca. Poznała już wszystkie, zarówno dobre, jak i złe strony badań archeologicznych w terenie. Bolały ją wszystkie mięśnie. W trosce o dziecko spowolniła nieco tempo i częściej robiła sobie przerwy.

Przecież nawet jak nic nie znajdzie, *ipokini* jej wybaczy. Grunt, że się starała.

Postukała prętem w metalową obudowę piecyka na drewno i ziewnęła. Spod łóżka wylazły dwa obudzone skunksy i podążyły ku drzwiom.

- Znajdźcie sobie jakieś zajęcie, chłopaki.

Normalnie starała się nie wpuszczać zwierząt do chaty, ale ostatnio była tak zmęczona, że po wieczornej kąpieli w rzece padała na łóżko i zasypiała. A te żyjątka przecież jej nie przeszkadzały spać. Do chaty przychodziły tylko na nocleg. Ciekawe, dokąd teraz poszły?

Kończyła pić poranną herbatę, gdy usłyszała warkot silnika albo silników. Wyszła za próg i zobaczyła co najmniej dziesięć pojazdów terenowych przejeżdżających obok jej chaty i następnie robiących szeroką pętlę po okolicznych wzgórzach i dolinach, tuż obok jej wykopalisk. Nie naruszyli oznakowanego terenu poszukiwań, ale przejechali naprawdę bardzo blisko.

Na końcu orszaku jechał facet w pikapie, który tu i ówdzie wbijał w ziemię znaki z numerami. Co ten Masters znów wymyślił?

- Przepraszam, co to ma znaczyć? - spytała gniewnie, podchodząc do ustawiającego znaki.

- Dzień dobry, madam. - Facet uchylił kapelusza. - Dziś mamy taką imprezę dobroczynną, rajd fundacji Spełnij Marzenie. Są różne konkurencje, a na koniec zwycięzca otrzymuje nagrodę. Oczywiście wszystko idzie na cele charytatywne, w tym roku sponsorujemy dom dziecka w Calico Springs. Właściciele rancza Circle M co roku pozwalają nam jeździć po swoim terenie. Trasa jest za każdym razem inna, żeby wszyscy uczestnicy mieli równe szanse.

- A akurat w tym roku przebiega dokładnie tu.

- Zgadza się, madam. Ale proszę się nie martwić, Cole kazał nam się trzymać z daleka od strefy wykopalisk archeologicznych.

- Och, doprawdy?

- Tak. Osobiście wyznaczył szlak.

Uspokoila się. Szacun dla Mastersa za jego determinację, ale

tym razem nie wyprowadzi jej z równowagi. On dobrze wie, co robi, ale ona i tak nie przerwie badań. Tym razem odpłaci mu się pięknym za nadobne.

- Gdzie jest pan Masters?

- Ma coś do załatwienia w Dallas, ale późnym popołudniem będzie z powrotem.

W sam raz, wystarczy jej czasu.

Ludzie z punktu ksero w mieście z przyjemnością pomogą jej skopiować i rozprowadzić kilkaset egzemplarzy. Może liczyć na Buzzy'ego i jego kumpli. Chętnie zarobią po kilka dolarów.

Wszędzie stały samochody. Wszystkie marki i modele, jakie wyprodukowano w ostatnim dwudziestoleciu. Wszelkie możliwe kolory lakieru. Fajne, ale czy muszą się tak tłoczyć wokół jego domu?

Cole podleciał bliżej i zrobił kółko nad tymi wszystkimi autami. Co ci ludzie tu robią?

Wygląda na to, że wznoszą toasty. Krążą z kieliszkami w dłoniach, wchodzą i wychodzą z jego domu, przepijają do niego. Głośno rozbrzmiewa rockowa muzyka.

Wylądował i pośpieszył do domu. W ręku trzymał komórkę, usiłując skontaktować się z ochroną. W odpowiedzi usłyszał:

- Witamy, panie M. Zdążył pan akurat na drugą porcję pizzy.

- Marco? Za dwie minuty w moim gabinecie.

Gdy szedł przez trawnik obok basenu, uczestnicy imprezy gromko wyrażali mu swe uznanie i podziękowania. Tłum rozstępował się przed nim, ktoś włożył mu do ręki kieliszek. Super. Zanim dotarł do gabinetu, wiedział już prawie na pewno, że to zamieszanie zawdzięcza pewnej archeolozce.

Po spotkaniu z ochroniarzem wybiegł przed dom i zaczął się rozglądać. W tłumie dostrzegł kilku swoich robotników, prawie połowę mieszkańców pobliskiego miasteczka, a pośrodku tego wszystkiego ona, Panna Imprezowiczka. Zadawała szyku, siedząc na leżaku w jaskraworóżowym bikini. W życiu nie widział kostiumu o bardziej mikroskopijnych rozmiarach.

- Doktor Finley - odezwał się, wzięwszy pod boki. - Wspaniale ich tu pani wszystkich ugościła.

Spojrzała na niego znad zsuniętych na czubek nosa ciemnych okularów.

- Och, przecież to nie jest moje przyjęcie. Dla mnie to miał być dzień pracy, ale wy urządziliście sobie święto czterech kółek. Jak to się mówi: jeśli nie możesz z kimś wygrać, przyłącz się do niego.

Właśnie ktoś plasnął okazałym brzuchem o taflę basenu. Rozprysnięta woda zmoczyła Cole'owi tyłek.

- Znajdź sobie coś do siedzenia i ciesz się z pięknej pogody - poradziła mu Tallie. - Ale w tych ciuchach będzie ci za gorąco - zauważyła.

Szczęka zaczęła mu się zaciskać, ale cóż... Jeśli nie możesz wygrać...

- To może chciałabyś pomóc mi je zdjąć?

- Uczcij okazję - odparła, ignorując jego propozycję.

- Impreza zaraz się skończy. Ochrona szybko upora się z gośćmi. Ale ja nie odmówię sobie spędzenia tych kilku końcowych minut u boku pięknej kobiety.

- Dlaczego mężczyźni zawsze zwracają uwagę tylko na wygląd zewnętrzny? - zapytała nieco spięta.

- Bo są mężczyznami. Kiedy tylko spotkają cudowną kobietę, serce zaczyna im bić, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

- Mówisz, jakbyś znał to z doświadczenia.

- Może i tak jest. - Pokiwał głową. - Zjesz dziś ze mną kolację, Tallie? Zmarnowałaś już i tak cały dzień, możesz zmarnować i wieczór.

- Zapraszasz mnie na kolację? - Spojrzała na niego.

- Tak. Nie należę do obraźliwych.

- Nie wiem, o czym mówisz, ale ja muszę wieczorem popracować. Uzupełnić zapisy w rejestrze badań. A poza tym nie mam ochoty na kolejną... dyskusję o tym, dlaczego powinnam stąd wyjechać.

- Weź coś pod uwagę. Jeśli się dogadamy, obiecuję przekazać muzeum darowiznę znacznej wysokości.

- A co do czego niby mamy się dogadać?

- Że przeniesiesz swoje wykopki na później.

- To niemożliwe.

- Zaproszenie na kolację odrzucasz równie kategorycznie?

- Tak. I zaraz ci wytłumaczę, dlaczego. Jesteś zepsutym egocentrykiem, uważasz się za Bóg wie kogo. Choć czasem chcesz się zmienić, odpocząć od reputacji wiecznego niegrzecznego chłopca. Ale ja nie ulegam takim jak ty, nie zakochuję się w takich. Jestem wystarczająco silna, żeby ci odmówić. A teraz, jeśli pozwolisz, do widzenia.

Jak na ironię Cole dobrze wiedział, że Tallie nie mówi całej prawdy. W Nowym Orleanie uległa mu, może nawet coś więcej? Naprawdę go nie poznaje, czy tylko tak udaje? Musi to rozgryźć.

Podniosła się z leżaka i uśmiechnęła. Ten perfekcyjnie wyważony uśmiezek doprowadzał go do szaleństwa. Zbyt dobrze go pamiętał.

Tallie wygrzebała się z pościeli. Czekał ją ciężki dzień. Szybko ubrała się i pobiegła do samochodu po puszkę z herbatą. Ale puszka była pusta. Zaczęła szukać w prowizorycznej spizarce, ale herbaty nie znalazła. I w ogóle zapasy żywności były na ukończeniu.

W ciągu ostatnich dni w jej poszukiwaniach nastąpił istotny przełom. Odkopła kilka kawałków ceramiki, której pochodzenie można było z niemal całkowitą pewnością określić na XVI wiek. Nie chciałyby w takim momencie przerywać prac. Ale już dawno temu przekonała się, że bez herbaty nie potrafi trzeźwo myśleć. A bez myślenia nie można pracować.

Pojechała do oddalonego o kilkanaście kilometrów Calico Springs. Powrót do cywilizacji zawsze był dla niej czymś przyjemnym, ale czuła się wtedy dziwnie.

Szybko znalazła wszystkie potrzebne produkty, łącznie z herbatą. Na wszelki wypadek kupiła dwie dodatkowe puszki. Wzięła też kulki na mole, których zapachu ponoć nie znoszą także skunksy.

Wracając, zadzwoniła do doktora Sterlinga, swojego szefa z muzeum. Bardzo się ucieszył na wieść o ceramicznych okrucach i zachęcił ją do dalszych poszukiwań.

Siedem tygodni minęło niepostrzeżenie, jej badania przekro-

czyły już półmetek. Ale o tym nie musiał jej przypominać doktor Sterling. Od tego miała Cole'a Mastersa.

Jakieś półtora kilometra przed chatą złapała gumę. Wokół żywej duszy. Wyjęła torby z zakupami, by dostać się do koła zapasowego. Miała nadzieję, że znajdzie podnośnik i że zapasowa opona nie okaże się też flakiem.

Na szczęście jej obawy nie potwierdziły się i właśnie zabierała się do zmiany koła, gdy za kierownicą zbliżającego się dostawczaka ujrzała Cole'a Mastersa.

- Podaj mi klucz do kół - powiedział, wysiadając z samochodu.

- Dzięki, ale zrobię to sama.

- A skąd wiesz, że zza opony nie wyskoczy pająk?

Z przerdzewiałymi śrubami dał sobie radę szybciej, niż ona mocowałaby się z nowymi. Gdy przyglądała się jego pracy, znów nie mogła oprzeć się wrażeniu, że już go kiedyś widziała. Zobaczyła coś... jakby znajomego.

Rozpięty guzik koszuli pozwolił dojrzeć mały tatuaż pod szyją.

- Masz tatuaż - zauważyła. - Co na nim jest, jeśli wolno zapytać?

Znieruchomiał. Zdjął ostatnią nakrętkę, odstawił koło i wyprostował się.

- Na pewno już coś takiego widziałaś - powiedział, odsuwając kołnierzyk.

- Super. Rzeczywiście, chyba coś sobie przypominam. - Zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami. - Ale nie pamiętam dokładnie.

Uśmiechem pokrył panikę. Co ma teraz zrobić?

Miał na sobie czarne dżinsy i czarną koszulę. Włosy mu urosły, były teraz mocno potargane przez wiatr. Gdyby odjąć mu brodę, dokładnie przypominałby nieznanego z tamtej nocy w Nowym Orleanie.

Cofnęła się kilka kroków i wpatrywała w niego z bijącym sercem. To niemożliwe. Ależ to on. Nie, to nie on. Czyżby Cole Masters był tym facetem, którego poznała w Nowym Orleanie? Pokręciła głową.

Niemożliwe. Tamten, który ją zaciągnął do łóżka, był miły. Ten

jest arogancki. Może istnieć jakieś zadziwiające podobieństwo, ale to są dwaj zupełnie różni ludzie.

Ale przecież...

Cole mógł wtedy występować w pożyczonych albo kupionych w lumpeksie ciuchach. Żeby nikt go nie rozpoznał. Nie musiał w Nowym Orleanie mieszkać pod mostem ani w żadnej ruderze. Miał przecież mnóstwo apartamentów na całym świecie.

Po ostrzeżeniach doktora Sterlinga przeczytała w końcu na jego temat kilka artykułów.

A doktor Sterling prawdopodobnie nawet nie zdawał sobie sprawy, ile słuszności było w jego ostrzeżeniach.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nagle uświadomiła sobie, jak było naprawdę. Cofnęła się o krok.

- Wiedziałaś. Cały czas. Wiedziałaś i nie zadałaś sobie trudu, żeby mi powiedzieć?

- Byłem ciekaw, ile czasu upłynie, aż się zorientujesz.

Przycisnęła dłoń do czoła. Krew pulsowała jej w skroniach, serce biło jak oszalałe.

- Jesteś aroganckim, podstępny, kłamliwym i dwulicowym miliarderm sabotażystą. - Odwróciła się, by wsiąść do swojego samochodu. - To jest prawdziwe źródło twoich sukcesów? Manipulowanie ludzkimi uczuciami?

Biła się z myślami. Czy to naprawdę ten sam człowiek, z którym się kiedyś kochała, czy tylko usiłuje jej to wmówić? Tamten był może menelem, ale miłym menelem. Poczowała, że czerwienieje jej szyja i policzki. Zarumieniła się aż po koniuszki uszu.

Miała mętlik w głowie. Starła się nie patrzeć na Cole'a, bo tak było łatwiej odepchnąć myśl, że to on był tym cudownym seksownym nieznajomym.

- Okłamałaś mnie.

- Nieprawda.

- Prawda. Gdybyś był uczciwy, powiedziałbyś mi od razu, jak się zorientowałeś, że ja to ja. Bo gdyby nie ten tatuaż, ciemne dżinsy i koszula, nigdy bym cię nie rozpoznała.

Dlaczego on się tak do niej szczerzy?

- Nigdy przedtem tego nie robiłam - dodała.

- Czego?

- Nie chodziłam do łóżka z nieznajomymi.

- Ale po co mi się tłumaczysz? To była wspaniała noc.

- Nie tłumaczę się - odparła. - Po prostu chcę, żeby było jasne.

- Przecież to nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma.

Stał z zaplecionymi dłońmi.

- Nie zrobiłem niczego wbrew twojej woli. Oboje świetnie spędziliśmy czas. I tylko to się liczy. Nie ma się czym martwić.

Im bardziej to wszystko lekceważył, tym bardziej była wściekła.

- A więc dla ciebie poderwanie nieznajomej w barze to norma? Dość smutne.

- Nie, właściwie to i dla mnie był pierwszy raz. Ale niczego nie żałuję.

- Tego nie byłabym taka pewna.

Zmarszczył brwi, najwyraźniej nie rozumiejąc.

- Zostawiłeś mnie - ciągnęła. - Obudziłam się w samotności i nawet nie wiedziałam, jak się nazywasz. Kto tak postępuje?

- Posłuchaj, Tallie...

- Nie, nie każ mi cię słuchać. A co by było, gdybyś był chory? Gdybyś mnie czymś zaraził?

- Zabezpieczyłem się przed tym. A zresztą teraz oboje już wiemy, że nic się nie stało.

O, jak bardzo pragnęła rzucić mu w twarz, że to nieprawda, że właśnie coś się stało. Ale zanim zdążyła zebrać myśli, on znów przemówił:

- Tallie, przyznaję, że mogłem to lepiej rozegrać. Ale gdziekolwiek się znajdę, a wyjeżdżam kilka razy w miesiącu, mam do czynienia z jakąś kobietą. Albo ktoś nasyła na mnie kobietę, żeby mnie usidliła. Jeśli dochodzi do seksu, wkrótce okazuje się, że ona jakoby jest w ciąży. Jeśli jesteśmy w restauracji, z zegarkiem w ręku potrafię określić, kiedy jej się coś stanie. Nieszczęśliwie spadnie z krzesła albo skręci sobie kostkę przed moim domem, żeby móc mnie potem pozwać o odszkodowanie.

W czasie tamtego pobytu w Nowym Orleanie z nikim nie byłem związany na stałe. O ile dobrze pamiętam, ty również. Nie jestem rodzinnym facetem i nigdy nie będę. Nie chcę mieć żony ani dzieci. A skąd miałem wiedzieć, że ty nie jesteś taka, jak te wszystkie inne? Myślałem, że się już nigdy więcej nie spotkamy, więc nie chciałem zawracać sobie głowy przedstawianiem się i innymi formalnościami.

Wrzucił łyżkę do opon do jej bagażnika i podszedł do niej.

- Powinnaś była mnie zapytać. Wiem, jak się nazywam i nie robię z tego tajemnicy. Zwłaszcza że...

- Tyle że ja wtedy nie byłam zdolna do myślenia. Ty zresztą też chyba nie.

Trudno było zaprzeczyć. Ciągle nie mogła przetrwać faktu, że to Cole jest jej wyśnionym facetem. I to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Tamta nowoorleańska noc była jak z romantycznej powieści czy filmu. Przynajmniej do momentu, kiedy się zorientowała, że jest w ciąży.

I jak teraz ma mu powiedzieć, że nosi jego dziecko? Od razu zostanie oskarżona o nikczemne zagrywki.

Łzy napłynęły jej do oczu, gdy zrozumiała, w jak beznadziejnej znalazła się sytuacji. Nie ma co marzyć, on jej nie uwierzy, nie poprosi jej o rękę. Czeka ją samotne macierzyństwo. W końcu jasno się określił - żadnych dzieci.

Czas spędzony z nią w Nowym Orleanie był dla niego niczym. Dlaczego miałyby troszczyć się o dziecko? Może nawet jej zarzucać, że celowo zaszła w ciążę. Nie miała zamiaru fundować swojemu dziecku ojca, który nigdy się w jego życiu nie pojawi. Niewykluczone zresztą, że spotka człowieka, który potraktuje jej dziecko jak swoje własne i maleństwu nie zabraknie nawet ptasiego mleka.

A zresztą miłość jest ważniejsza od pieniędzy. Będzie w stanie sama zapewnić dziecku dach nad głową i codzienny posiłek. Niczego więcej im nie trzeba.

W ciągu kilku minut Cole wymienił koło, a ona w tym czasie starała się trzymać emocje na wodzy.

- Tę oponę da się jeszcze uratować. Zabiorę ją do mojego warsztatu.

- Dziękuję, panie Masters. Jestem pana dłużniczką.

- Przejdźmy już ostatecznie na ty. Jestem Cole.

- Nie muszę znać pańskiego imienia, panie Masters. Trzy miesiące temu nie był pan łaskaw mi go wyjawić, to i teraz nie chcę nic o nim wiedzieć.

- Tallie, ależ ty jesteś uparta.

Ale ona nie chce być z tym facetem po imieniu! To zupełnie

inny człowiek niż tamten spotkany w Nowym Orleanie. Ten tu jest bezwzględny i niebezpieczny. Nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Choć przecież nosi jego dziecko...

Dlaczego ma takiego pecha do facetów. John Mosby, z którym ostatnio chodziła przez rok, był egocentrykiem i bez przerwy ją kontrolował. Gdy w końcu cichcem, bez słowa wyjaśnienia wyprowadził się od niej, gdy była na wykopaliskach, uznała, że to najlepsze, co ją mogło spotkać.

Nie zamierzała teraz wpadać z deszczu pod rynnę.

- Pojadę za tobą do twojego obozowiska, żeby się upewnić, że nie będzie żadnych niespodzianek - powiedział Cole.

- Nie.

Odwróciła się i ruszyła do samochodu, ale złapał ją za ramiona. Już chciała zapytać, co on sobie wyobraża, gdy nagle przykrył jej usta swoimi. Przez chwilę się opierała, ale smak pocałunku miał większą moc niż jej przyrzeczenie, że nie popełni kolejnego błędu, zadając się z tym facetem. Poddała się więc, a on całował ją długo. Aż spuchły jej wargi i poczuła, że chce jeszcze i jeszcze.

- Chcę zacząć od początku i dowiedzieć się o tobie nie tylko tego, co już wiem: że jesteś niesamowita w łóżku - powiedział ochryplym głosem. - Zaczniemy wszystko na nowo, dobrze, Tallie?

Przylgnęła do niego, on zaś zwilżył językiem jej wargi, a potem wtargnął do wnętrza jej ust.

Chciała, by ją objął. Chciała się z nim całować, kochać się. Mógł z nią zrobić, co chciał. Często wspominała noc, którą spędzili razem. Kochali się w sposób, który usatysfakcjonowałby większość normalnych ludzi. Ale nie ich. Po każdym szczytowaniu czuła się zaspokojona, dopóki on znów nie odezwał się do niej tym swoim głębokim schrypniętym głosem, dopóki jej nie pocałował, nie pogłaskał. Wtedy była już kompletnie zgubiona i wszystko trzeba było zaczynać jeszcze raz.

Ale to jest Cole Masters. „Ten” Cole Masters, playboy Dzikiego Zachodu. Zna ciało kobiety równie dobrze jak swoje własne i potrafi je od siebie uzależnić. Dlatego nie powinna się zgodzić

na jego propozycję rozpoczęcia wszystkiego od początku. Przecież on w końcu zobaczy, jak jej rośnie brzuch i oskarży o wrobień go w dziecko.

- Możemy porozmawiać - odparła.

- Jeśli nic innego nie możesz mi w tej chwili zaproponować, niech i tak będzie. Ale może uda mi się ciebie jakoś inaczej przekonać. Wsiadaj do samochodu, a ja pojedę za tobą do szafasu.

Włączyła silnik i spojrzała we wsteczne lusterko. To ładne z jego strony, że się zatrzymał, aby jej pomóc. Czy wielu ludzi z jego sfery zdobyłoby się na podobny gest?

Po dwudziestu minutach jazdy stanęli przed chatą. Zanim zdążyła wysiąść, Cole już wyjmował zakupy z jej samochodu, i pytał, co ma z nimi zrobić.

- Dzięki za wszystko - powiedziała. - Ja naprawdę...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Usiłowała się wyzwolić z jego objęć, ale był stanowczy. Sama nie zauważyła, jak zaczęła mu oddawać pocałunek. Poczowała ucisk w brzuchu i rozlewające się po całym ciele gorąco.

- Cole. - Dyszała. Rozchyliła nabrzmiałe od pocałunków usta. Czowała, że jego członek stwardniał, tak jak wtedy. I wiedziała, że oboje nie zaznają spokoju, dopóki on nie zaciągnie jej do łóżka.

- Tallie, czy kogoś masz?

Co go to obchodzi?

- Nie.

Pocałował ją jeszcze raz, mocniej, jakby chciał potwierdzić swoje wyłączone do niej prawo. Przyciskał do niej swoją nabrzmiałą męskość i pomrukiem domagał się, bo to prawo zrealizować. Jego podniecenie nie mogło ująć jej uwadze.

- Tallie - mamrotał, ponownie zbliżając wargi do jej ust.

Pragnęła stopić się z nim w jedno, ale w tym momencie przypomniała sobie, jak bardzo Cole Masters potrafi być seksowny, potężny i przekonujący. A jej hormony w kontakcie z nim eksplodują niczym fajerwerki w Dzień Niepodległości. Wbrew sobie więc wyswobodziła się z jego objęć.

- Już ci mówiłam, tamta noc w Dzielnicy Francuskiej to był wyjątek. Normalnie nie sypiam, z kim popadnie.

- To dlaczego akurat mnie dałaś się poderwać? Czym sobie zasłużyłem na takie wyróżnienie?

- Podejrzewam, że za dużo wypiałam. Przestałam być sobą.

- Nie. Uważam, że właśnie wtedy odkryłaś, kim jesteś naprawdę. Piękną zmysłową kobietą, dla której namiętność stała się ważniejsza od statecznych, zupełnie niezyciowych zasad, które dotychczas wyznawała.

Faktycznie. Przy Johnie, który dbał wyłącznie o swoje potrzeby, nie miała szans stać się nikim takim.

Ale teraz nie była pewna, czy Cole chce ją uwieść, bo mu się podoba, czy też po to, żeby sobie stąd wyjechała. Pierwsza ewentualność wydawała się mocno wątpliwa. W końcu z Johnem męczyła się tak długo wyłącznie dlatego, że był jedynym facetem, który się nią zainteresował. Co więc może w niej widzieć taki mężczyzna jak Cole Masters?

Z drugiej strony jeśli on chce, by zwolniła miejsce wykopalisk, to uwiedzenie jej jest głupim pomysłem. Bo przecież właśnie wtedy będzie chciała zostać jak najdłużej. I w ogóle cała sytuacja jeszcze bardziej się skomplikuje.

On na pewno po prostu widzi w niej słabą i bezbronną istotkę. Jest wprawdzie wykształcona, ale brakuje jej obycia w świecie. Nigdy nie startował do niej koleś tak bajecznie bogaty i wpływowy jak Cole, to nie jej liga. Czuła, że traci grunt pod nogami. On ją na pewno chce zmanipulować - jedna miłosa sesja i ma ją z głowy.

- Dobranoc, Cole. - Gwałtownie odwróciła się i weszła do chaty.

Usiadła na swoim posłaniu i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w znikające światła jego półciężarówki.

Przecież oni się w ogóle nie znają! A ona nie potrafi zbliżyć się do niego, bo wciąż czuje się zagrożona. Gdyby była swobodniejsza, bardziej światowa, powiedziałaaby „tak” i czekała, co dalej.

Ale to nie w jej stylu.

O czwartej po południu następnego dnia zadzwoniono do niego z warsztatu z wiadomością, że z oponą Tallie nic już nie da

się zrobić.

- Okej. Przyślijcie mi nową, zapłacę. Ale Ray, zrób tak, żeby ta nowa wyglądała jak stara. Przejedź nią kilka razy po błocie i wyprowadź swojego psa.

- Mam wyprowadzić psa?

- Taaa... Rozumiesz, podprowadź go, niech narobi na nią, na co tam będzie miał ochotę, a potem znów utytłaj ją w błocie.

- Cole, masz jakieś dziwne wymagania.

- Dzięki, Ray - odparł Cole, wybuchając śmiechem.

Ten człowiek raczej nie rozumie, o co chodzi, ale zrobi to, o co się go poprosi. Tallie na pewno będzie się upierać, że zapłaci za naprawę. Ale nie zamierzał się z nią użerać. Wolał sam zapłacić sto dolców, niż narażać ją na taki wydatek. Niech wierzy, że to jej stara opona i że naprawa kosztowała dziesięć dolarów. Taką sumę może od niej przyjąć. Wilk będzie syty i owca cała.

Odebrał złachaną oponę i pojechał do wykopalisk. Cholera, złapał się na tym, że zaczął używać tego słowa na określenie fragmentu swojej posiadłości. Na miejscu zobaczył, że Tallie kończy pracę nad ostatnim kawałkiem wyrysowanej na dziś siatki. Ciekawe, gdzie zaczną kopać jutro.

Gdy skończył zakładanie właściwego koła z nowo-starą oponą, pojawiła się Tallie.

- Ile jestem ci winna?

- Dziesięć dolarów.

- Dziesięć? Za nową oponę? - Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Dokładnie. Dopiszę ci do rachunku.

- Okej, ureguluję przed wyjazdem.

Cole wiedział, że to robi. Przynajmniej będzie próbowała.

Następnego dnia przed świtem obudził ją dziwny hałas. Jakby ktoś uruchomił gigantyczny zraszac. Spojrzała w kierunku swojego archeologicznego stanowiska.

Stwierdziła, że nieużywany dotychczas system nawadniający zaczął podlewać pszenicę. Jedną z dysz ustawiono dokładnie w miejscu, gdzie zamierzała dziś kopać.

Nie ma mowy. Wskoczyła w dzinsy i wzięła rulon plastikowej folii używanej do zabezpieczania wykopalisk w czasie deszczu. Starła się przykryć teren, na którym dziś zamierzała pracować, ale gleba zdążyła już nasiąknąć wodą. Spojrzała na swoje po kostki zanurzone w rudawobrazowym błocie nogi i w tym momencie silny strumień zimnej wody uderzył ją w twarz.

Straciła równowagę i przewróciła się, gubiąc prawy but. Po kilku nieudanych próbach podniesienia się na nogi uznała, że najlepszą opcją będzie doczołganie się w błocie do dyszy zraszacza i wyłączenie go. Okazało się jednak, że urządzenie jest zdalnie sterowane. Najprawdopodobniej przez kogoś przebywającego na ranczu. Łatwo się domyślić, kto jest tą osobą.

Dowłokła się do forda, czując, jak jej wściekłość rośnie z każdym krokiem. Cóż, jak widać Cole Masters nigdy się nie poddaje. Nie mógł jej pokonać seksem, to postanowił zalać. Trzeba mu przyznać, że jest bliski osiągnięcia celu – zaczynała już naprawdę mieć tego wszystkiego dość.

Prowadzenie poszukiwań archeologicznych w błocie mija się z celem.

Dojechała do rancza Circle M i zapukała do drzwi wejściowych.

Postanowiła, że po trzydziestu sekundach wtargnie do środka nieproszona. W głowie jej huczało i modliła się, by ten cholernik pojawił się, zanim ją dopadnie zawał albo udar. Na szczęście nie zdążyła nacisnąć klamki, kiedy Cole stanął w drzwiach.

Omiótł ją spojrzeniem, oczy zrobiły mu się wielkie niczym spodki. Tallie od stóp do głów była pokryta ciemnoczerwonym błotem, but miała tylko na jednej nodze. Patrząc na zastygłego z idiotycznym wyrazem twarzy mężczyznę, dostrzegła, że zza jego pleców wyłania się jeszcze ktoś.

- Jeśli sobie myślisz, że te twoje sztuczki skłonią mnie do wyjazdu, to się lepiej zastanów – odezwała się drgającym wściekłością głosem. – Masz natychmiast wyłączyć to nawadnianie!

- Nawadnianie? Tamten obszar nie miał już być nawadniany. Zboże dojrzało do żniw, ty prowadzisz swoje prace, a ja miałem budować. System nawadniający został wyłączony.

- Ciekawe.

- Tallie, to nie ja. - Podniósł dłonie do góry w geście kapitulacji. Jednocześnie zacisnął wargi, jakby chciał powstrzymać śmiech. - Nie wiem, co się stało, ale zajmę się tym.

Jeszcze raz obejrzał ją sobie, jakby nie dowierzając pierwszemu wrażeniu.

- Masz na to piętnaście sekund. - Przygwoździła go wzrokiem, wysuwając palec w kierunku jego piersi. - Te twoje machlojki opóźniają mi pracę, ale ja się nie dam. Nie pozbędziesz się mnie, Masters. Uwierz i pogódź się z tym.

- Wejdz, proszę.

Przestąpiła próg w nadziei, że jak najwięcej nabłoci w tym cudownym wnętrzu. Skinęła głową temu drugiemu, a on zrewanżował się jej tym samym.

- Jestem Wade, brat Cole'a. A pani to chyba doktor Finley.

Bez przekonania wyciągnęła do niego umazaną błotem rękę, Cole zaś złapał za telefon i szybko wybrał numer.

- Griff? Chyba wyraźnie mówiłem twoim chłopakom, żeby nie nawadniali wschodniej części. - Przez chwilę przysłuchiwał się wyjaśnieniom rozmówcy. - No to ci się nie udało. Woda leci tam jak cholera i niewykluczone, że zniszczyła stanowisko badań doktor Finley. Wyłącz to natychmiast, a potem ustal, kto jest za to odpowiedzialny i naprawcie szkody. Daj mi znać, jak skończysz - powiedział, po czym się rozłączył. - Przykro mi, Tallie, ale ja naprawdę nie miałem z tym nic wspólnego. Może do czasu, aż błoto wyschnie, pokopiesz sobie w innym miejscu?

- Tak uważasz? Czy ty w ogóle wiesz, czym ja się zajmuję?

Wzruszył ramionami.

- Szukasz kawałków starej ceramiki? Chociaż tak naprawdę to nie wiem. A powinienem?

- Nie, masz rację, nie musisz. Ciebie obchodzi tylko to, że opóźniam twój projekt.

Kręcąc głową, odwróciła się i pognęła do samochodu. Wróci i - skoro wyłączą zraszacze - postara się odzyskać swój drugi but. A Masters jeszcze ją popamięta.

Wyjęła z kieszeni komórkę i wybrała prywatny numer kuratora muzeum.

- Tallie? Miło cię słyszeć - odezwał się głos doktora Sterlinga.

- Jak ci idzie?

- Przepraszam, sir. Ktoś do pana na linii pierwszej. - Do Cole'a podszedł jeden ze służących.

- Niech zostawi wiadomość.

- Niestety, mocno nalega na rozmowę z panem. To gubernator Mitchell.

Cole chwycił słuchawkę.

- Słucham, gubernatorze?

Rozmówca był rozżłoszczony. Z potoku jego słów Cole wyłowił słowa „napaść” i „szlauch”.

- Co takiego? Zapewniam, że nie zaatakowałem jej węzem ogrodowym.

- Nieźle się zaczyna - mruknął rozparty na kanapie brat Cole'a, Wade.

- Wystąpił pewien problem z systemem nawadniającym, ale już go naprawiliśmy - tłumaczył się Cole, siedząc sztywno w swoim biurowym fotelu.

- Mam ci uświadomić, że doktor Finley pracuje nad bardzo ważnym stanowym zleceniem. Powinieneś jej pomagać, a ty podobno sabotujesz jej poczynania. Cole, znam cię od lat i bardzo zasmuciło mnie to, co usłyszałem od szefa doktor Finley, dyrektora muzeum.

A więc zrobiła to. Poskarżyła się na niego. Gubernator Mitchell był przyjacielem rodziny Mastersów, a jednak teraz trzymał stronę Tallie.

- To jakieś nieporozumienie, Ted. Wysłałem ich, żeby jej pomogli.

- No to strzeliłeś sobie w stopę, Cole. O ile wiem, zostało jej jeszcze sześć czy siedem tygodni. Postaraj się pomóc i współpracować z tą kobietą. Jest bardzo poważana w kręgach akademickich. Nie daruję, jeśli jej wykopaliska zostaną spartolone z twojej winy.

- Rozumiem.

Gubernator zapytał jeszcze grzecznościowo, jak się miewa młodszy brat Cole'a, Chance, który rok temu się ożenił, i kazał pozdrowić Wade'a.

Cole odłożył słuchawkę i poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod stóp. Spojrzał na starającego się zdusić śmiech Wade'a i przekazał mu pozdrowienia od gubernatora.

- Domyślam się, że rozmowa dotyczyła naszej ulubionej archeolożki? - odparł Wade, podziękowawszy za pozdrowienia.

- Nic nie mów.

- Piękna z was para.

- Wade, ostrzegam cię.

- Gdzie się poznaliście?

- A czy to ważne?

- Owszem.

- W Nowym Orleanie. W ten weekend, kiedy tam zostałem po załatwieniu połączenia z firmą Colemana.

- Interesujące.

- Zamknij się albo wyjdź.

- No, no, coraz lepiej.

- Podejrzewam, że ona jest w zмовie z kimś, kto chce mi przeszkodzić w budowie.

- Może gdybyś jej pomógł, szybciej by skończyła te badania i wyjechała?

- Próbowałem, ale się nie udało. Wysłałem Reda i chłopaków, żeby jej pomogli kopać.

- Skucha, braciszku. Co jeszcze?

- Kazałem Stuartowi wypasać tam kilka jałówek. A ona pogoniła je tak, że wpadły na drut kolczasty. Musiały brać zastrzyki przeciwwężcowe. Ale naprawdę nie zaatakowałem jej węzem ogrodowym.

- A nie miałbyś ochoty? - chichotał Wade.

Tak, to było najgorsze. Od chwili, gdy ujrzał ją na progu ociekającą błotem, nie mógł się opędzić od myśli i wyobrażeń o tym, jak myje każdy centymetr jej ciała.

Gdyby tylko mogli się spotkać w innych okolicznościach. Gdyby mógł cofnąć czas do tamtego weekendu w Nowym Orleanie! Wszystko zrobiłby inaczej. Ale cóż, tak się nie da...

A teraz ona go nie znosi, a on szaleje na jej punkcie. I co z tym zrobić?

Na pewno nie będzie się przed nią płaszczył. Po prostu nie da

po sobie poznać, co naprawdę czuje. Nikomu nic do tego.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Cole?

Dzwoniła Debra Davis, kobieta w średnim wieku, od dziesięciu lat jego sekretarka i prawa ręka. Cole miał nadzieję usłyszeć od niej dobrą wiadomość: znaleziono sposób na to, żeby pozbyć się z terenu archeolożki. Raz na zawsze.

Poczuł się nieswojo. Tallie była pierwszą kobietą od śmierci Giny, która wzbudzała w nim uczucia, o których nie sądził, że jeszcze kiedykolwiek ich zazna.

Jej obecność nie pozwalała mu się jednak skupić na projekcie życia - budowie kompleksu hotelowego. Stał się ospały, stracił apetyt. Musi z tym skończyć.

- Słucham cię, Debra.

Milczenie po drugiej stronie linii nie wróżyło nic dobrego.

- Nic nie mamy - powiedziała w końcu sekretarka.

- Jak to? - Cole oczekiwał wyjaśnień. Debra była dobra w wyszukiwaniu nieistniejących informacji i sprawianiu, że działy się rzeczy, które dziać się nie miały prawa. Prawdziwy geniusz.

- Sprawdziłam wszystko. Radców prawnych, sąd, jej szefa z muzeum. Nic na nią nie mamy. Przykro mi, Cole, ale wygląda na to, że będziesz musiał się z nią pomęczyć jeszcze pięćdziesiąt jeden dni.

To jakieś szaleństwo. Natykał się już w swojej pracy na rozmaite biurokratyczne przeszkody, ale żeby coś takiego...?

- Połącz mnie z nim, Debra. Z jej szefem - powiedział Cole i już po chwili usłyszał:

- Tu Henry Sterling.

- Doktor Sterling? Tu Cole Masters. Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać.

- W czym mogę panu pomóc?

- Zapewne pan wie, że pańska podwładna, doktor Finley, prowadzi badania na należącym do mnie terenie w okręgu Calico.

- Tak, wszyscy bardzo się ekscytujemy jej ewentualnymi odkryciami. Dzwoniła do mnie pańska asystentka, prosiła o opóźnienie lub odwołanie tych wykopalisk. Obawiam się, że muszę odmówić.

- Nie wiem, czy pan wie, ale ja na tym terenie coś buduję. Zespół budynków rekreacyjnych z basenem. Wykopaliska powodują poważne opóźnienia i straty.

- Bardzo żałuję.

- Ja na pewno bardziej. Czekam z założonymi rękami, aż ona skończy poszukiwania. Dlaczego nikt nie może jej pomóc?

- Przykro mi, ale wszyscy archeolodzy i wolontariusze związani z naszym muzeum, a także z uniwersytetem, są zajęci przy innych projektach badawczych. Doktor Finley miała zaraz po skończeniu badań na pańskim terenie jechać do Brazylii, gdzie też brakuje nam ludzi do pracy.

- Miała?

Po drugiej stronie linii zapanowało długie milczenie.

- Rozumie pan, że nie jestem uprawniony do omawiania z panem planów zawodowych czy problemów zdrowotnych doktor Finley. Powiem tylko, że jej udział w projekcie brazylijskim stoi pod znakiem zapytania.

- Jasne - odparł Cole zdziwiony, że doktor Sterling poruszył kwestie zdrowia.

O co chodzi? Pozostaje mieć nadzieję, że Tallie nie ma raka ani nic równie okropnego. Poczuli się winni, że tak jej dopiekł. Serce mu drgnęło.

- Ale dlaczego nie zatrudni pan więcej pracowników?

- Borykamy się z ograniczeniami budżetowymi. Doktor Finley częściowo samodzielnie finansuje swoje badania. Może pan mógłby...

- Moją korporację stać na darowiznę. Mógłby pan zatrudnić, powiedzmy, dwanaście dodatkowych osób.

- Zawsze miło jest coś dostać, ale to tak nie działa. O rozdziale funduszy z dotacji dla muzeum decyduje jego zarząd. A jeszcze wiele programów cierpi na braki finansowe, nie tylko te z dziedziny archeologii. Przepraszam za wszelkie niedogodności, panie Masters - dodał doktor Sterling, gdy Cole przez dłuż-

szy czas się nie odzywał. – Jeśli to może pana pocieszyć, dodam, że doktor Finley jest jedną z najlepiej wykształconych osób w naszym zespole. Ma podwójny doktorat: z archeologii i antropologii fizycznej z uprawnieniami biegłej sądowej. Na pewno ukończy swoje badania tak szybko, jak to możliwe.

– Chce mi pan powiedzieć, że nie mam się do kogo zwrócić, żeby jej pomógł, nawet jeśli za to zapłacę?

– Obawiam się, że tak właśnie jest. Chyba że w Państwowym Ośrodku Badań Archeologicznych wiedzą o czymś, o czym ja nie wiem. Podam panu numer.

To wszystko jest jakieś chore.

Ledwo Cole ochłonął po rozmowie ze Sterlingiem, gdy odezwała się jego prywatna linia.

– Cole, miałam ci jeszcze przypomnieć... – Debra mówiła mocno niepewnym tonem. Jaką tym razem ma dla niego niespodziankę? – W przyszły piątek mamy uroczystość wmurowania kamienia węgielnego.

Rzeczywiście. Na śmierć zapomniał.

– Odwołaj ją.

– Nie mogę. Ludzie już potwierdzili przybycie.

Cholera. W czwartek zwali się mu tutaj co najmniej dwudziestu potencjalnych inwestorów. A w piątek przewiezie się ich na plac budowy głównego budynku. I co, przecież nie będzie można pokazać im fundamentów!

Zobaczą tylko dwieście czerwonych chorągiewek i czołgającą się między nimi, grzebiącą w rozkopanej ziemi kobietę.

– Zamówiłam już limuzyny, które mają wyjechać po gości na lotnisko, odwieźć ich do hotelu, a potem na plac budowy. Cole? – odezwała się Debra po chwili milczenia.

– Tak?

– A może użyłbyś tych swoich... walorów? Przecież jak się uprzesz, potrafisz być... hm... przekonujący. W końcu nie od parady nosisz tytuł Kawalera Roku magazynu „Dallas”. I to potrójny.

Już wyobrażał sobie ten złośliwy uśmieszek na jej twarzy.

– Pomyślę o tym. Dzięki, Debra.

– Pogadamy jutro. Głowa do góry!

I co on ma teraz zrobić? Uwiedzenie doktor Finley nie wchodzi w rachubę, choć poświęcił rozważeniu tej ewentualności o dwie sekundy więcej, niż na to zasługiwała. Tak wykształcona kobieta na pewno na to nie pójdzie.

Zresztą gdyby doszło do sytuacji intymnej, spełniłby każde jej życzenie. Nawet dałby się wystrzelić w kosmos, gdyby tego chciała. Był uzależniony od Tallie, psychicznie i fizycznie. I z tej przyczyny musi się trzymać od niej z dala.

Ale przynajmniej w dniu uroczystości wbicia łopaty ona nie może przebywać tam, gdzie teraz. Poprosi ją, na pewno go zrozumie.

Zresztą w zamian zaoferuje jej możliwość wydłużenia czasu badań. To jeszcze zwiększy opóźnienie, ale trudno. Kilka dni w tę czy w tamtą stronę nie robi już różnicy. A on w przyszły weekend musi wyrzucić na inwestorach odpowiednie wrażenie.

Wyleje się jakieś fragmenty fundamentów i wzniesie trochę rusztowań w miejscu, gdzie ma stać główny budynek. I tyle. Jakoś to będzie. Byle tylko Tallie nie rozpraszała go swoją obecnością.

Nazajutrz, gdy Cole podjechał furgonetką, była zajęta pracą. Powitał ją uśmiechem, może nawet niewymuszonym, ale Tallie i tak zorientowała się, że coś się musi za nim kryć. Ciekawe co tym razem.

- Widzę, że robota idzie naprzód - odezwał się. - Czy się mylę? - dodał, gdy przez dłuższą chwilę nie mógł doczekać się odpowiedzi.

Westchnęła, wbiła łopatkę w ziemię i spojrzała na niego.

- Tak. Już nie tonę w błocie.

- Mam nadzieję, że przecucie cię nie myliło i coś znajdziesz. Szkoda byłoby całej tej pracy.

Milczała uparcie.

- A to co takiego? - zagadywał niestrudzenie.

- To moje sito. Zazwyczaj używam go na przeoranym terenie, ale tym razem spróbowałam tutaj. Trochę przyśpiesza pracę, choć ryzykuje się uszkodzeniem znaleźsk.

Zademonstrowała mu sposób użycia sita.

- O, widzisz, odsiałam ziemię. Na sicie zostają najczęściej jakieś kamyki czy korzonki, ale mogą to też być kawałki ceramiki, groty strzał czy biżuteria.

- Biżuteria?

- Nawet pięć tysięcy lat temu kobiety dbały o piękny wygląd.

- Pięć tysięcy? Zamierzasz znaleźć coś z aż tak dawnych czasów?

- Taki mam plan. Zgodnie ze słowami mojej babci, plemię moich przodków żyło tutaj właśnie już w tym okresie. Ale co ja mówię, przecież ciebie to nie interesuje.

Przy tym facecie zawsze czuła się skrępowana. Na szczęście motyle w brzuchu są niewidoczne dla postronnego obserwatora.

- Chcę cię prosić o przysługę - odezwał się. Wyglądał na równie skrępowanego jak ona.

- O przysługę? Mnie? - spytała sarkastycznie.

- Na przyszły piątek zaplanowaliśmy ceremonię rozpoczęcia budowy. Z całego kraju zjadą się szefowie najważniejszych firm. Rozważają inwestycje w mój projekt i chcą zobaczyć, jak to wygląda.

- A ja mam zniknąć?

Nie spodziewał się, że tak szybko wszystko zrozumie.

- Tak. W piątek, jeśli nie masz nic przeciwko.

Przestała potrząsać sitem, wstała i oparła dłoń o biodro.

- Zdecyduj się. Najpierw wydzwaniasz do mojego szefa, że bym się pośpieszyła, a teraz prosisz, że bym przerwała prace. Przecież działałam zgodnie z prawem. W dodatku zazwyczaj ludzi bardzo interesuje to, co robię.

- A więc odmawiasz?

Ten twardogłowy facet z pewnością nie słucha, co się do niego mówi. Pokręciła głową i w zamyśleniu wypięta z włosów podłużną klamrę. Przeczesała włosy palcami, uformowała je w raczej nieskładny węzeł i ponownie spięła.

- Postaram się pracować w jakimś odległym kącie, żeby twoi goście mnie nie widzieli. Ale nie mogę nie pracować w ogóle. Może nie uwierzysz, ale ja też bardzo mocno chcę już wrócić do domu. Tyle że nie mogę, dopóki nie znajdę tego, czego szukam.

- Mogę wydłużyć ci czas o cztery dodatkowe dni.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Niestety, dzień po skończeniu prac tutaj lecę do Brazylii. - I tak by było, gdyby nie pewien egoistyczny samiec, który zrobił jej dziecko. - Naprawdę nie będę wam przeszkadzać. Ale nie mogę nie pracować przez cały dzień.

- A może po prostu zadzwonię do ciebie, jak będziemy nadjeżdżać i schowasz się na, powiedzmy, godzinę.

W porządku. Kiwnęła głową na znak zgody i podyktowała mu numer swojej komórki.

Cole był dziś ubrany w T-shirt i niezbyt obcisłe, ale mimo to uwydatniające muskulaturę ud dżinsy. Znoszone buty kowbojki dopełniały luzackiej całości. Pewnie zdążył się zorientować, że tak ubrany działa na nią silniej niż pod krawatem. Ale nic z tego!

Fakt, John, jej były, mógłby Cole'owi co najwyżej wiązać sznurówadła. Ale to nie zmienia faktu, że nie zamierzała powtarzać dawnych błędów.

Teraz liczy się dla niej praca, praca i tylko praca.

Tydzień później ciągle nie mogła się pochwalić żadnym spektakularnym znaleziskiem. Tego ranka zasnęła, jej wewnętrzny budzik nie zadziałał. Całą noc śnił się jej Cole Masters i to pewno on wyłączył ten cholerny alarm.

Pomyślała, że powinna przyspieszyć działania i zacząć kopać bliżej skalistego wzgórza. Tam znalezienie śladów osadnictwa jest najbardziej prawdopodobne.

Kilka godzin później, gdy po wypiciu porannej herbaty wrysowała sobie nową siatkę, przesiała pierwszą porcję wykopanej łopatką ziemi. Znowu nic specjalnego, trochę starej ceramiki. Ale dopiero badania laboratoryjne będą mogły określić jej wiek.

Podniosła głowę i ujrzała sznur lśniących limuzyn zbliżających się do szałas. Cholera, dziś jest piątek! Zupełnie straciła rachubę czasu.

Dlaczego Cole nie zadzwonił, żeby jej przypomnieć? Miał ją przecież uprzedzić. Sięgnęła po komórkę, ale okazało się, że jest poza zasięgiem. Była w szoku. Goście Cole'a w drodze,

a ona zapomniała o obietnicy zejścia im z oczu.

Na szczęście z jej narzędzi na widoku był jedynie przesiewacz.

Ale co będzie, jeśli goście zechcą zwiedzić stary szałas traperski? Zapomniała o pochowaniu swoich rzeczy. Szybko obliczyła w myślach, że jeszcze zdąży to zrobić, zanim kolumna samochodów dotrze do placu budowy. Musi też przestawić forda.

W pośpiechu zaczęła wynosić sterty rzeczy z chaty do samochodu. Rząd limuzyn właśnie przejeżdżał obok. Może uda się jej jakoś niezauważenie przemknąć z powrotem na stanowisko badawcze i skryć w dość głęboko wykopanym dole? Nie, lepiej już zostać w chacie i modlić się, żeby nikt tu nie zajrzał.

Z daleka dobiegał głos Cole'a wyjaśniającego ideę budowy ośrodka dla biznesmenów. Potem posypały się pytania oraz żarty i Tallie stwierdziła, że Cole powoli przyjmuje ton defensywny. Co jest grane?

Ciekawość przeważała nad ostrożnością i Tallie przez otwarte drzwi rzuciła okiem na grupkę osób, które wskazywały sobie palcami jej wykopaliska.

Boże, nie chciała tego. Nie chciała popsuć Cole'owi jego wielkiego dnia. Nie jest tak bezwzględna jak on. Dla niego ta budowa jest tak samo ważna jak dla niej jej badania i ona to rozumie. Ale przecież uprzątnęła wszystko, co się dało. O co więc chodzi?

Ostrożnie wytknęła głowę za drzwi i spotkała się wzrokiem z Cole'em. Nie wyglądał na zadowolonego, patrzył na nią spod przymrużonych powiek.

Skuliła się i cofnęła w głąb chaty, czując się jak zapędzone w pułapkę zwierzę. Gdy wszedł za nią do środka, jego masywna sylwetka wypełniła całe wnętrze. Pełne zazwyczaj wargi tworzyły teraz wąziutką kreskę. Nigdy nie widziała, żeby był aż tak wściekły.

- Jesteś proszona na zewnątrz - powiedział. - Widać kopanie dziur jest ciekawsze niż to, co ja mam do zaprezentowania. Zechcesz przemówić do tej grupy inwestorów?

- Chyba żartujesz - szepnęła. - Przecież uprzątnęłam prawie wszystko, jak prosiłeś. Z wyjątkiem...

- ...sita - dokończyli chórem.
- Dlaczego go nie schowałaś? - zapytał gniewnie.
- Bo nie mogłam odebrać twojego telefonu i zapomniałam. Tu nie ma zasięgu, powinieneś być wiedzieć!
- Ja? Przecież to ty tu kopiesz!
- Ale to twój teren!
- Chodź teraz i wytłumacz tym ludziom swoją obecność.
- Nie jestem odpowiednio ubrana - broniła się, omiatając wzrokiem swoje gołe nogi i zakurzone szorty.
- To najmniejsze z twoich zmartwień, doktor Finley. Proszę za mną.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tallie nie miała najmniejszej ochoty na publiczny występ, ale w końcu z westchnieniem rozpuściła włosy i szybko je wyszczotkowała. Potem wyszła na zewnątrz, gdzie pod rozłożystym dębem czekało na nią około dwudziestu słuchaczy, kobiet i mężczyzn, z uśmiechami na twarzach. Tylko Cole Masters był ponury.

- Przedstawiam państwu doktor Tallie Finley, archeologkę z Muzeum Historii Naturalnej Teksasu Północnego, która ma także doktorat z antropologii fizycznej i uprawnień biegłego sądowego w tym zakresie. Zgodziła się poświęcić nam kilka minut i odpowiedzieć na wasze pytania.

Niemal natychmiast zaczęły padać konkretne i niełatwe pytania, ale dla Tallie to nie było nic nowego. Rozluźniła się. Dla wielu spośród obecnych odkrywanie reliktyw przeszłości było czymś bardzo interesującym, choć tylko nieliczni widzieli kiedykolwiek na własne oczy stanowisko archeologiczne. Czuła, że podekscytowanie słuchaczy wzrasta z każdym jej słowem.

- Szukamy śladów tutejszej cywilizacji sprzed pięciu-sześciu tysięcy lat. Pan Masters był łaskaw zezwolić na badania, mimo że znacznie opóźniają one realizację jego projektu. Sukces tych poszukiwań pomoże nam na nowo przemyśleć i zrozumieć historię i kulturę rdzennych Amerykanów, w tym i moich własnych przodków. Cały personel naszego muzeum wstrzymuje oddech w oczekiwaniu na rezultaty.

Posypały się dalsze pytania. W końcu ktoś poprosił o pokazanie miejsca, gdzie aktualnie toczą się wykopaliska. Wszyscy ruszyli za Tallie w kierunku dwóch sporych kwadratowych otworów.

Archeologka zademonstrowała swoje narzędzia pracy i wyjaśniła sposób ich użycia. Pokazała też znalezione grot strzały i odłamki ceramiki.

- To dowodzi, że kiedyś była tu wioska. Takie fragmenty skanuje się, a program komputerowy pozwala określić ich wiek i prawdopodobny wygląd całości, z której pochodzą.

- I tego właśnie pani szuka?

- Nie. Te rzeczy są stosunkowo młode, mają po kilkaset lat.

Wszyscy się zaśmiali. Z wyjątkiem Cole'a.

Przeszła dalej i pokazała dziwnie ukształtowany kamień.

- To nasze wczorajsze znalezisko - powiedziała.

Zawsze starała się używać liczby mnogiej, by podkreślić wagę swoich poczynań.

- Służyło do mielenia kukurydzy i pszenicy. Ale i ono ma zaledwie kilkaset lat. Gdyby nie pan Masters, nic byśmy nie znaleźli - wyjaśniła, odpowiadając na jedno z wielu kolejnych pytań.

Spojrzała na Cole'a. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy, ale jego zaciśnięte wargi tym razem wyglądały tak, jakby starał się powstrzymać uśmiech.

- Jeśli nie ma już więcej pytań - powiedział Cole, gdy dyskusja zaczęła tracić impet - zapraszam wszystkich do domu na spóźniony lunch.

Wskazał zebranych miejsce, gdzie czekały na nich samochody, podszedł do Tallie i powiedział:

- Musimy porozmawiać.

- Jasne. Podaj tylko czas i miejsce.

- Ciekaw jestem, gdzie nauczyłaś się tak dobrze kłamać.

- Nie kłamałam. - Wzruszyła ramionami. - Po prostu nie wdawałam się w szczegóły. Wydawało mi się, że tak będzie najlepiej. Miłego popołudnia.

Spojrzał na nią raz jeszcze, ponownie zacisnął wargi, pokręcił głową i oddalił się.

Coś robię nie tak, pomyślała, zwieszając głowę, gdy przesianie ziemi z kolejnego wyrysowanego kwadratu nie przyniosło rezultatów. Może poszukiwane przez nią przedmioty leżą w głębszych warstwach gleby?

Kolejny zachód słońca, a ona ciągle z pustymi rękami. Spojrzała na skały, szukając śladów świadczących o istnieniu jaskiń czy rumowisk. Postanowiła od jutra szukać właśnie tam - u pod-

nóża skalnego klifu.

Jaka szkoda, że nie ma przy niej babci. Ona zapewne potrafiłaby odpowiedzieć na wiele pytań. Po powrocie do chaty Tallie postanowiła jeszcze raz starannie przestudiować mapę. Może coś pominęła?

Zrobiło się jej niedobrze. Ciężowe mdłości nie odpuszczały, nawet w ciągu dnia. Chciało się jej płakać.

W drodze do szałasu myślała o Cole'u. Stare dzinsy z trudem się na niej dopinają, więc w końcu będzie musiała mu powiedzieć o dziecku. Jak on to przyjmie, co zrobi? Ucieszy się czy oskarży ją, że umyślnie zaszła w ciążę?

A może stanowczo zaprzeczy swojemu ojcostwu? Nawet by tego chciała. Tamta noc zostawiła w jej sercu tak cudowne wspomnienia, że szkoda byłoby je zniszczyć wzajemnymi oskarżeniami i szarpaniną.

Oczywiście najbardziej pragnęłaby, żeby zaakceptował ją i dziecko, ale to mało realne. Chyba najmądrzej będzie zakończyć pracę jak najszybciej i wyjechać, pozostawiając go w nieświadomości.

I zanim się w nim zakocha. W Cole'u Mastersie, mężczyźnie, który nigdy nie będzie potrafił zakochać się w niej.

Wizyta biznesmenów przebiegła nadszpiekowanie dobrze, a Cole musiał przyznać, że w dużej mierze było to zasługą Tallie. Miała rację, ludzi na ogół interesuje jej praca.

W czasie lunchu toczyła się swobodna rozmowa, w której goście mówili równie dużo o jego projekcie, co o jej wykopaliskach.

Żegnając się, inwestorzy wyrażali Cole'owi swój podziw, że tak mocno wspiera pielęgnowanie historycznego dziedzictwa. Najwyraźniej dzięki Tallie uwiarygodnił się w ich oczach, bo gremialnie podtrzymywali swoje poparcie dla jego projektu.

Został więc jej dłużnikiem.

A ona mieszka w takich okropnych warunkach. Często żartuje, że znalazła w bucie zaskrońca, ale co będzie, kiedy któregoś ranka obudzi się, a w kącie lub pod rozchwierutany łóżem będzie się na nią czał prawdziwy grzechotnik? Może pozory mó-

wią co innego, ale on naprawdę czuł się za nią odpowiedzialny.

Musi ją skłonić, by się przeniosła na jego ranczo.

Po wyjeździe inwestorów chciał się z nią zobaczyć, podziękować jej, porozmawiać.

Przebrał się w dżinsy, koszulę w kratę, wskoczył do pikapa i podążył w stronę wykopaliska.

Był piękny wieczór. Właściwie to mógł osiodłać któregoś ze swoich koni, ale za bardzo się spieszył. Coś go wręcz gnało, a sam nie wiedział co.

Obszedł szafas dokoła i zajrzał do środka. Tallie tam nie było. Jakiś przestraszony ptak wyleciał przez okno, przez dziury w dachu przeświecało zachodzące słońce. Cole omiótł wzrokiem leżący na nędznym materacu i zardzewiałej ramie łóżka śpiwór. Wyjrzał na zewnątrz i wtedy zobaczył ją pod drzewem nad rzeką. Dłonie miała podłożone pod głowę, pewnie przysnęła.

Pochylił się nad nią, odsunął jej z twarzy kosmyk włosów. Czoło miała gorące. Nic dziwnego przy takim upale. Ale czy się przypadkiem nie odwodniła? Przykucnął.

- Tallie? - szepnął. - Tallie?

Usiadła, przeciągnęła się i westchnęła głęboko. Spojrzała na niego, zamrugała, po czym wstała, z trudem utrzymując równowagę. Otarła twarz dłonią.

- Piłaś wystarczająco dużo wody?

- Tak. - Pokiwała głową. Głos miała podniecająco zachrypnięty - Po prostu zmęczyłam się i zasnęłam. Przyszłam tu, bo na wykopalisku jest strasznie gorąco. Ale robię postępy i...

Nagle opadła na kolana i zaczęła wymiotować. Gdy mdłości ustały, dostała dreszczy. Przerażony Cole kompletnie stracił głowę.

- Zawołać lekarza?

- Nie. Ze mną wszystko okej. Musiałam coś złapać. Przepraszam.

Usiadła, opierając głowę o uniesione kolano.

- Nie masz za co przepraszać. Zabiorę cię do domu, musisz odpocząć od tych upałów. I bez dyskusji, proszę.

- Dzięki za troskę, ale ja muszę tu zostać. Straciłam dziś kilka

godzin. – Odwróciła się twarzą do niego, nie patrząc mu jednak w oczy. – Naprawdę staram się ci nie przeszkadzać, ale nie mogę zrezygnować z poszukiwań. Są dla mnie zbyt ważne.

– Przysięgam, nie będę miał ci za złe, jak weźmiesz sobie wolne popołudnie i wieczór. Pracowałam bez wytchnienia przez kilka tygodni.

Przytaknęła ruchem głowy.

– Chodź, weźmiesz prysznic, odświeżysz się, odpoczniesz od tego upału. I zjesz coś innego niż chrupki czekoladowe i kraker-sy z masłem orzechowym.

Spojrzała na niego badawczo, a on wstrzymał oddech. W końcu skinęła głową.

– Okej, dzięki, superpropozycja.

Żadna ze znanych mu kobiet nie przepuściłaby okazji do ciepłej kąpieli. No i normalne jedzenie musiało być dla niej niebyle jaką pokusą. O wroga też się trzeba czasem zatroszczyć. Nie może pozwolić, by zaharowała się na śmierć, w końcu pomogła mu dziś pozyskać inwestorów.

Do rezydencji weszli przeszklonymi drzwiami od strony ogrodu. Marmurowa podłoga pod stopami i klimatyzacja dawały przyjemne orzeźwienie.

– Znajdziesz sama apartament, w którym kiedyś byłaś? – zapytał cicho.

– Tak, dzięki.

Rozejrzała się. Nie sposób było zapomnieć ogromnego wysokiego kominka z naturalnego kamienia. Otwarta przestrzeń kuchenna z okapem wentylacyjnym z brązu, pięciopalnikową kuchenką, mnóstwem miedzianych garnków, rondli i patelni oraz wielkim dębowym stołem też robiła wrażenie.

I ten wspaniały widok za wysokim od podłogi do sufitu oknem...

Wzięła kąpiel z masażem wodnym, umyła i wyszczotkowała włosy, włożyła czyste ubrania i – niejako przywrócona do życia – zeszła na dół.

Cole na powitanie jedną ręką podał jej plastikowy worek na brudne rzeczy, a drugą kieliszek wina.

- Ładnie wyglądasz - powiedział, patrząc na jej letni strój. - Zupełnie nowy człowiek.

Co za szczęście, że pakując się, włożyła do plecaka - oprócz niezliczonych par dżinsów, szortów i T-shirtów - także tę białą koronkową, kupioną w dyskoncie za dwadzieścia dolarów sukienkę i sandaalki.

Dzięki temu czuła się ubrana niemal wyjściowo.

- Dzięki za kąpiel. Nieczęsto mam okazję korzystać ze zdobyczy XXI wieku.

- Masz na myśli bieżącą wodę?

- Dokładnie. Może nie powinnam pytać, ale jak przebiegło spotkanie? Mam nadzieję, że wszyscy obiecali ci wsparcie finansowe?

- Owszem, i to w dużej mierze dzięki tobie. Dziękuję, Tallie.

- Przepraszam, sir - przerwał im kucharz. - Kolację podałem w pokoju śniadaniowym, tak jak pan prosił.

Cole podziękował skinieniem głowy i zapytał ją, czy ma ochotę coś zjeść.

- Pachnie cudownie, ale jakoś nie mam apetytu.

Bezwiednie złapała się za brzuch, ale natychmiast opuściła rękę.

- Ciągle cię mdli?

- Trochę.

Przez główne pomieszczenie i kuchnię udali się do części jadalnej. Na środku stołu paliła się tam jedna duża świeca i to było całe oświetlenie.

Przez chwilę żałowała, że dała się zaprosić na tę kolację. Ale szybko przyszło jej na myśl, że jemu nie chodzi o żaden zwyczajowy ciąg dalszy, tylko o to, by porozmawiać o postępie prac i znaleźć na nią jakiegoś haka, który pozwoli mu pozbyć się jej ze swojej ziemi.

Tu nie chodzi o ciebie, pamiętaj, upominała się w duchu.

Uśmiechał się, jakby cieszyła go jej obecność. Ale ona musi się mieć na baczności. Kąpiel kąpielą, jedzenie jedzeniem, ale jej nie wolno dać się przekonać do przerywania prac.

- Znalazłaś już coś naprawdę interesującego? - zapytał.

- Jeszcze nie. - Pokręciła głową.

- Pytam z ciekawości. Czy to normalne, że do tak ważnych poszukiwań deleguje się tylko jedną osobę?

- Tak. Wysłano mnie, bo na drugą osobę nie starczyło pieniędzy, a poza tym tylko ja mam mapę.

- Znalazłaś jakąś mapę? - spytał zdziwiony. - Mogę zapytać, w jaki sposób?

- Dała mi ją babcia. Tuż przed śmiercią.

- A więc od niej już nie możesz spodziewać się pomocy...

- Właśnie. Zastanawiam się, dlaczego zwlekała tak długo. Nie wiem, czy w ogóle dysponowała jakimiś informacjami. Ale jeśli tak, zabrała je z sobą do grobu.

- Przyjmij wyrazy współczucia.

Zapanowało milczenie. Tallie miała nadzieję, że Cole już nie będzie zadawał jej pytań.

- To jest pyszne - postanowiła zmienić temat.

- Dzięki - uśmiechnął się. - Strogonow to również jedna z moich ulubionych potraw. Chociaż najbardziej lubię kuchnię niemiecką. A ty?

- Chrupki czekoladowe i krakersy z masłem orzechowym - odparła z powagą.

Roześmiał się.

- A coś jeszcze?

- W ostateczności stek i homar.

- No to już wiem, co podać następnym razem.

Następnym razem? Będzie jakiś następny raz?

Mocno w to wątpiła. Teraz Cole chce, by przerwała wykopaliska, a później potrzeba okazywania gościnności zniknie bez śladu.

- Mam dobre przeczucia co do najbliższych dni. Zbliżam się do klifów i być może odnajdę w nich pozostałości jaskiń.

- A to ma znaczenie?

- Dawniej ludzie często zasiedlali jaskinie. W nich najłatwiej było się schronić. Obejrzałam te klify z wierzchu za pomocą lornetki i wprawdzie nie znalazłam wyraźnych otworów, ale...

- Mam nadzieję, że wkrótce na coś natrafisz.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Naprawdę ci tego życzę. Temperatura nie spada, a ty pracu-

jesz tu już od dwóch miesięcy. Nie rozumiem, jak można kazać jednej osobie przekopywać się przez tyle hektarów gruntu. Na pewno już chciałabyś wrócić do domu.

Czy on prowadzi swoje negocjacje biznesowe w równie prymitywny sposób, wykładając kawę na ławę?

- Archeologia to cierpliwość - odparła. - Nic na łapu-capu.

- Musisz naprawdę kochać to, co robisz.

- No raczej, nie? - Uśmiechnęła się bezczelnie. - Zżera cię ciekawość, co znajdziesz na następnym wyznaczonym poletku. To podnieca i uzależnia.

- Czyli jesteś uzależniona, Tallie? - spytał ochryłym głosem, jakoś tak... konfidencjonalnie?

Patrzyła na niego, wyobrażając sobie, jak by to było, gdyby teraz, gdy już wie, kim on naprawdę jest, oddała mu się bez reszty? Co by zrobił? Albo czego by nie zrobił?

Pamięć podsunęła jej obrazy ich obojga rozpalonych pożądaniem, w skotłowanej pościeli, warg Cole'a, który dyszy jej prosto w usta, poruszając się w niej rytmicznie. Poczowała ogarniające ją gorąco. Boże, on jest uosobieniem seksu.

Nagle wpadła w panikę. Starła się nie patrzeć na Cole'a, by przypadkiem nie stwierdzić, że przejrzał jej myśli, że być może spogląda na nią z tym swoim kpiącym uśmiechem. Oparła widelec o brzeg talerza i utkwiała wzrok w jakimś odległym punkcie.

- To było naprawdę pyszne - powiedziała, ocierając usta serwetką. - A kąpiel boska. Dzięki, Cole.

- Zostań, Tallie - powiedział, widząc, że zbiera się do wyjścia.

- Prześpisz się w czystej pościeli. Bez robactwa, szopów i skunksów. Bez tego upału. No chyba że tak lubisz.

Z trudem przełknęła ślinę. To miał być żart?

- Chyba jednak wrócę do siebie - powiedziała z wahaniem. - Ale jeszcze raz dziękuję za zaproszenie. Teraz czuję się o wiele lepiej.

Cole okrążył stół i stanął z nią twarzą w twarz.

- Dlaczego tak się upierasz, żeby spać w tej szopie? Przecież tam nie ma warunków do odpoczynku. Noce spędzaj tutaj, a co rano możesz sobie pojechać na wykopalisko. Dom jest duży, nie

będziemy sobie wchodzić w drogę. – Uniósł palcem jej podbródek, zmuszając ją do spojrzenia mu w oczy. – To najbardziej sensowne rozwiązanie.

W jego oczach dojrzała pożądanie. Chciała zostać. Pragnęła go. Nie cofnęła się, gdy dotknął ustami jej warg. Zachęcony jej postawą, objął ją i przyciągnął do siebie. Poczuła, że dostał erekcji.

– Potrzebuję cię, Tallie – szepnął jej do ucha. – Bóg mi świadkiem, nie potrafię trzymać się od ciebie z daleka. Daj nam szansę, teraz już bez żadnych zagrywek. Bądźmy z sobą szczerzy, oboje. Kochaj się ze mną.

Dobrze wiedział, jak jej dotykać i całować, żeby straciła panowanie nad sobą, poczuła dzikie podniecenie i wpadła w amok. A ona tego pragnęła. Słyszała opowieści o orgazmach, które dają poczucie fruwania wśród gwiazd, ale sama aż do owej nocy w Nowym Orleanie niczego takiego nie zaznała.

– Czuję się zaszczycona tą propozycją, ale wolę wrócić do swoich wykopków – powiedziała, odsuwając jego rękę.

– Nie miałem zamiaru ci schlebiać, Tallie. Precz z piedestałami, ja jestem zwykłym facetem, który cię pragnie i potrzebuje. Przy żadnej kobiecie nie czułem się tak jak przy tobie.

Trudno jej było przeciwstawić się mężczyźnie, który górował nad nią postawą, patrzył takim szczerym wzrokiem, a ton głosu potwierdzał prawdziwość jego słów. Tallie przymknęła oczy, wdychając jego zapach. Pozostało zadać tylko jedno pytanie: gdzie to się ma odbyć?

Nagle jednak otworzyła oczy i cofnęła się. Boże, o mały włos znowu by to zrobiła. Uległaby mu, a on skorzystałby z okazji, która sama wpada w ręce.

Nie sądziła, aby chciał ją skrzywdzić, ale jego reputacja nie pozostawiała wątpliwości – ten człowiek jest bezwzględny. Miałaby go na głowie aż do końca wykopalisk.

Nagle wszystko wokół niej zaczęło wirować. Wyciągnęła rękę, żeby chwycić się czegoś i nie upaść. Było to ramię Cole'a.

– Ja... myślę, że powinnam pójść...

I wtedy ogarnęła ją ciemność.

Obudziła się na kanapie. Ktoś położył jej na czole zimny kompres.

- Hej - usłyszała głos Cole'a. - Tu cię mam.

Nie miała czasu na pogaduszki. Poczowała mdłości i usiadła gwałtownie.

- Gdzie jest... łazienka?

- Na końcu korytarza, po prawej.

Pognała niczym pocisk karabinowy. Oby tylko zdążyć!

Gdy najgorsze miała już za sobą, Cole podniósł ją, jakby ważyła tyle co piórko.

- Zaniosę cię gdzieś, żebyś się mogła położyć.

- Tak mi głupio. Cała wspaniała kolacja na nic.

- Tym się nie przejmuj.

Ułożył ją na wielkim łóżku w jednej z licznych wyposażonych w łazienkę sypialni. Podziękowała mu i zamknęła oczy. Nie miała nawet siły myśleć, jakiego narobiła zamieszania.

Musiała się zdrzemnąć, bo kiedy po jakimś czasie się obudziła, przy łóżku siedział sympatyczny siwy mężczyzna. Cole z niepewnym wyrazem twarzy stał w progu.

- Tallie, jestem doktor Jenkins - przedstawił się starszy pan. - Opowiesz mi, co się stało?

- No więc... skończyliśmy jeść kolację. Wstałam i poczułam zawrót głowy. A potem chyba zgasło światło. Kiedy się ocknęłam, zrobiło mi się niedobrze. Teraz już mi lepiej, tylko trochę mnie mdli. To chyba takie kilkudniowe zatrucie, proszę się mną nie kłopotać.

- Pewnie masz rację, że to wirus, ale skoro już tu jestem, pozwól, że cię zbadam, okej? - Uśmiechnął się. - Cole, jak będziesz wychodził, zamknij drzwi.

- Zaczniemy od płuc - mówił lekarz, gdy drzwi zostały już zamknięte. - Usiądź i oddychaj głęboko.

Zbadał ją, zadał kilka pytań, a na koniec zapytał o ciążę.

Zbladła. Mogła się spodziewać takiego pytania, ale rzecz w tym, że sprawca tej ciąży stoi teraz za drzwiami tego pokoju. Bo z żadnym innym mężczyzną ostatnio nie była.

- Wiem, że to bardzo osobiste pytanie - zastrzegął się lekarz - ale wszystkie objawy pasują do takiej diagnozy. Może jutro

przyszłabyś do gabinetu zrobić test?

Tallie zgodziła się i poprosiła lekarza, by nie dzielił się swoimi podejrzeniami z Cole'em, bo wtedy on zacząłby mocniej nalegać na przerwanie ważnych badań archeologicznych. Zresztą za nic nie powie ani jemu, ani lekarzowi, kto jest ojcem dziecka. Nie chciała się narazić na obelgi typu: oszustka, intrygantka, amatorka cudzych pieniędzy, latawica.

- Zawsze dochowuję tajemnicy lekarskiej - zapewnił ją doktor Jenkins. - Ale muszę ostrzec: praca w otwartej przestrzeni przy tych temperaturach grozi utratą ciąży. Mogę już zawołać Cole'a? Wiem, że się martwi.

Skinęła głową na znak zgody.

Po wyjściu lekarza wstała i włożyła buty, gotowa do wyjścia. W drzwiach natknęła się na Cole'a.

- Dokąd to? - zapytał.

- Wracam do siebie. Już i tak narobiłam ci kłopotów. Ale czuję się dobrze, a jest późno i wszyscy chcą się położyć spać.

- Ci „wszyscy” to także ja i nie pozwolę ci nigdzie iść. Jeśli chcesz, mogę tam wysłać człowieka, żeby popilnował twoich rzeczy, ale ty powinnaś się porządnie nawodnić i schłodzić w klimatyzowanym pomieszczeniu.

- Nic mi nie będzie.

- Co doktor powiedział na te twoje nudności? Dlaczego zemdlałaś?

- Nie miał pewności, ale pewnie złapałam jakiegoś wirusa.

Cole przyglądał się jej podejrzliwie. Tak, pomyślała, musi stąd wyjść, by w samotności przemyśleć i uporządkować sobie pewne rzeczy.

- Nalegam, żebyś została tu przynajmniej na tę noc, a później się zobaczy.

Poczuła się rozdarta. Pragnęła znaleźć się z dala od niego, choć nie miała ochoty opuszczać tego wygodnego domu. Ale im dłużej będzie tu przebywać, tym większe ryzyko, że się wygada co do dziecka.

- Tallie, to jest najlepsze rozwiązanie.

- Okej - zgodziła się. - Ale tylko na dzisiejszą noc.

- W porządku. Nie będę cię teraz więcej zasypywał pytaniami,

bo musisz jak najszybciej się położyć. Ale do sprawy wrócimy.

- Dzięki, że pożyczyłeś mi koszulę - odparła, pomijając milczeniem sedno jego wypowiedzi.

Wstała wcześniej i w białej sukience na ramiączkach zeszła na dół. W kuchni czekała na nią służąca, która zaproponowała filiżankę czegoś ciepłego.

Tallie poprosiła o herbatę i sucharka, po czym usiadła na wysokim barowym stołku i delektowała się wspaniałą herbatą, dużo lepszą od tej, którą zwykła była pić rano. Trzeba będzie zapytać, jaki to gatunek i marka.

- Jak się dziś czujesz? - zapytał wchodzący do kuchni Cole.

- Dużo lepiej, dziękuję, Cole. Tak mi przykro, że...

- Przestań, ciesz się, że to nic poważnego.

Tallie pokiwała głową i z trudem przełknęła ślinę.

Fakt, ciąża to nie choroba. Dobry moment, żeby mu powiedzieć, ale jakoś nie mogła się zebrać w sobie.

Nie tu, nie teraz.

Cole pił herbatę, a Tallie gryzła sucharek. Musi wrócić do pracy jak najszybciej, zanim zrobi się gorąco.

- Muszę teraz polecieć do Houston - oznajmił Cole. - Mam nadzieję, że dziś nie będziesz tak harować i się nie przegrzejesz.

- Okej.

- Wróć o szóstej, może siódmej. Przemysł sprawę przeniesienia się tutaj. Nie powinnaś spędzać nocy z szopami praczami i innymi o wiele gorszymi stworami.

- Nic mi nie będzie - uśmiechnęła się. - Nie chcę ci mieszać w twoim kawalerskim życiu.

- Możesz wyłącznie polepszyć jego jakość - odparł, całując ją w policzek.

Pół godziny później Tallie rozrysowywała na ziemi następną siatkę. Pod nieobecność Cole'a chciała zrobić jak najwięcej. Pracując, zapomniała o bożym świecie i gdy uniosła głowę, zauważyła, że słońce zaczyna chylić się nad horyzontem.

Gdy weszła do szafasu, zadzwonił jej telefon.

Na wyświetlaczu pokazało się nazwisko Stana Bridgera. Star-

szego kolegi, który wrócił niedawno z wykopalisk w Meksyku.

- Cześć, domyślam się, że właśnie zszedłeś ze stanowiska - powitała go.

Był jej serdecznym przyjacielem i to jemu zawdzięczała wybór archeologii jako głównego kierunku studiów. Kibicował jej w trakcie doktoratu, gratulował, gdy znalazła pracę w muzeum, a także był świadkiem, gdy pierwszy raz wbiła w ziemię łopatę.

- Może zjedlibyśmy razem kolację w miasteczku, gdzie prowadzisz wykopki? - zaproponował Stan. - Chciałbym zobaczyć, nad czym pracujesz, a Sterling dziwnie zareagował, kiedy go o ciebie zapytałem, więc moja ciekawość jeszcze wzrosła.

Tallie roześmiała się.

- Świetnie. I tak miałam jechać do miasteczka.

- A więc o siódmej?

- Doskonale. Tu podobno jest taka mała rodzinna knajpka, gdzie świetnie dają jeść, nazywa się Frieda's Sandwich Shoppe.

- Brzmi to obiecująco. No to widzimy się.

Tallie zdała sobie sprawę, że jest głodna. Widocznie z jej brzuchem jest już lepiej. Miała ochotę na stek i na ciasto kokosowe. Może pani Frieda ma je w swojej ofercie?

Cole nie zastał Tallie w chacie. Stwierdził też brak starego forda. Dokąd mogła pojechać?

Gdy wracał do swojej posiadłości, zadzwonił do niego Wade.

- Cześć, braciszku, jak ci idą negocjacje? Ciągłe siedzisz w Londynie? - pytał Cole.

Wade pojechał tam przejąć londyński butikowy hotel, by umocnić pozycję Masters Corporation na rynku europejskim.

- Nie, już wróciłem. Pewnie jesteś ciekaw szczegółów, a ja z kolei potrzebuję twojego podpisu na kilku dokumentach.

- Co powiesz na steki i parę głębszych u Friedy?

- W porządku, za godzinę jestem na miejscu.

Gdy Cole tam dotarł, restauracyjka była wypełniona po brzegi. Cóż, u Friedy w sobotni wieczór to normalka. Najlepsze żarcie w trzech sąsiednich okręgach.

Cole podszedł do brata, który już zajął miejsce przy długim stole pod ścianą. Gdy obaj złożyli zamówienia, Wade zapytał:

- Jak ci idzie z twoją archeolożką? Udało ci się ją spławić i zacząć budowę?

- Tallie zabawi tu jeszcze trochę - odparł Cole, kręcąc głową.

- Tom Mitchell zadzwonił do mnie w jej sprawie.

- Przecież byłem przy tym, zapomniałeś? - powiedział Wade, szczerząc zęby.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego.

- Myślisz, że ona naprawdę nie wie, kto jej sprawiał te wszystkie psikusy?

- Wie. I potrafi się zrewanżować.

- Ohoho! Zawsze marzyłem, żeby poznać dziewczynę, która potrafi rzucić Cole'a Mastersa na kolana - powiedział Wade, patrząc na brata z ukosa. - To musi być niezła sztuka, oczywiście o ile aktualnie nie jest utytłana w błocie.

Zanim Cole zdążył odpowiedzieć, dzwonek nad drzwiami obwieścił wejście kolejnych klientów.

- Zaraz będziesz miał okazję się przekonać.

Cole przyglądał się, jak brat pożera wzrokiem seksowną laskę z czarnymi włosami do pasa, która odpowiada gestem na powitanie siedzącego w pobliżu, nieco od niej starszego mężczyzny.

- Bracie - szepnął Wade. - Ja widzę, że ty masz większy problem niż jakieś tam archeologiczne wykopki. Ona jest niesamowita. Chętnie znalazłbym się na twoim miejscu.

- Nie sądzę - mruknął Cole niechętnie.

Niech ten jego braciszek lepiej trzyma łapy z dala od Tallie. W dodatku dziewczyna i facet, z którym jest umówiona, wyglądają, jakby łączyła ich bliska więź.

Gdy Tallie podeszła do Stana, zauważyła, że siedzi obok niego David Sloan, zaprzyjaźniony z nimi współpracownik z muzeum. Po dość długim niewidzeniu cała trójka nie mogła się wręcz nagać.

- O co chodzi z tymi twoimi badaniami? - spytał w jakimś momencie Stan. - Sterling nie chciał mi nawet powiedzieć, gdzie jesteś. To jakaś wielka tajemnica?

- Nie, naprawdę nie. Babcia, umierając, dała mi mapę z zaznaczonym punktem, gdzie prawdopodobnie znajdowała się

wioska będąca siedzibą naszych przodków. Poprosiła mnie, żebym odszukała to miejsce. No to staram się to zrobić. – Wzruszyła ramionami. – Sterling mi pozwolił, bo do wyjazdu do Brazylii zostało trochę czasu.

– Stary opowiadał mi o twoim gospodarzu, facecie, do którego należy ta ziemia – powiedział Stan. – Naprawdę jest taki zły czy Sterling jak zwykle robi z igły widły?

– Jest naprawdę okropny – zza pleców Tallie dobiegł głęboki głos. – Zgodzi się pani ze mną, doktor Finley, prawda?

Tallie zdała sobie sprawę, że Cole Masters stoi za nią, a jej koledzy wpatrują się w niego z otwartymi ustami.

– Absolutnie. Zgadzam się w stu procentach. To najgorszy dziedzic na włościach, z jakim miałam do czynienia – odparła z szerokim, choć nieco wymuszonym uśmiechem.

– A nie mówiłem? – triumfował Cole.

Tallie przedstawiła mu swoich kolegów po fachu. Obaj zapewne wkrótce będą jeść z ręki temu dowcipnemu i uroczemu przy stojniakowi.

Stan zaprosił Cole'a do ich stolika. Tallie nie była z tego zadowolona. Przy nim nie będą mogli rozmawiać swobodnie. Jego świat to plany, strategie biznesowe i drapacze chmur, a ich – stare mapy i grzebanie w ziemi w poszukiwaniu zmurszałych resztek przeszłości.

Cole położył jej rękę na ramieniu. Poczowała się oburzona tym gestem. Przecież fakt, że nosi jego dziecko, nie oznacza jeszcze, że jest jego własnością.

– Dzięki za zaproszenie, ale jestem tu z bratem – odparł Cole.
– Mamy parę spraw do omówienia. Może innym razem. Kuchnię Friedy mogę polecić z czystym sercem. Miło było was poznać.

Wrócił do stolika, gdzie czekał na niego brat.

– Stary, na twoim miejscu bym się pośpieszył, bo cię ktoś ubiegnie – powiedział Wade, ocierając usta serwetką. – Widziałem, jak ona na ciebie patrzy. A ty na nią. Wiem, ile wycierpiałeś z powodu Giny, ale minęły już trzy lata. Jeśli wypuścisz z rąk taką okazję, będę cię miał za idiotę.

– Cóż, dzięki, że się ze mną dzielisz tymi głębokimi przemyśleniami.

- Zawsze do usług.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cole zauważył, że Wade śledzi wzrokiem Tallie, ale nic nie mówi na jej temat. Brat taki jest – raz się wypowie i potem już nie wraca do tematu. Co bardziej zastanawiające, Cole czuł, że Wade ma rację. W jednej tylko sprawie się myli: trzy lata to za mało, by przejść do porządku dziennego nad tym, co się stało z Giną i dzieckiem, które w sobie nosiła.

Jego żona była w ciąży z innym mężczyzną, choć zaklinała się, że kocha tylko Cole'a. Wyznawała w tym samym czasie miłość jakiemuś obcemu facetowi. Czy zatem kobiety potrafią kochać?

Czy coś takiego jak miłość w ogóle istnieje? Po tamtych przeżyciach Cole przysiągł sobie, że nie da po raz drugi zrobić z siebie idioty.

Ginę na początku chyba kochał, ale jej perfidia nadała temu uczuciu gorzki smak. Nie chciał po raz kolejny zaznać takiej go-ryczy.

Spojrzał na Tallie. Śmiała się i rozmawiała ze swoimi kolegami. Uderzyło go, że w sumie po raz pierwszy widzi ją szczerze rozbawioną i szczęśliwą. Na wspomnienie kłód, które rzucał jej pod nogi, poczuł ucisk w gardle. Ale przecież ci faceci też mogą ją skrzywdzić.

Postanowił, że od tej chwili będzie ją chronił. Zmusi, by opuściła stary szałas i zamieszkała u niego w domu.

– Jakie masz teraz plany? – zapytał brata, żeby przestać myśleć o Tallie.

– Jutro przez cały dzień spotkania, jedno po drugim. A potem jadę do Paryża na rozmowy z Ives'em Bordeaux. Obawiam się, że będę musiał wyjechać wcześniej rano.

– Rozumiem. Ale chciałem cię jeszcze zapytać o testament taty. Coś się posunęło do przodu?

– Ani trochę. To może się okazać bardziej skomplikowane, niż się nam wydaje. – Wade wzruszył ramionami. – Niełatwo ustalić

cenę firmy, której wartość ciągle idzie w górę. Nie zazdroszczę prawnikom.

- Ja też. Ale chciałbym to już mieć z głowy. Tata w ostatnich latach życia podjął sporo dziwnych decyzji. Dużo zależy od tego, co jest w tym testamencie. Ludzie już do mnie telefonują, wolałbym umieć im odpowiedzieć na wiele pytań. Zadzwonię jutro do tych prawników. Testament jak testament, można go przyjąć albo zakwestionować. Ale musimy wiedzieć, co w nim jest.

Cole podpisał kilka dokumentów, uścisnęli się z bratem, pokleпали po plecach i Wade udał się na lądowisko helikopterów, skąd miał odlecieć do Dallas.

Cole rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie na Tallie, po czym wyszedł za bratem. Ogarnęło ich gorące powietrze. Potem Cole przez szybę samochodu obserwował, jak Tallie i jej przyjaciele wyszli z za rogu budynku. Młodszy z nich odjechał swoim autem, Tallie wsiadła do starego forda, a starszy z mężczyzn wyjechał z parkingu swoim samochodem. Tallie jechała za nim.

Cole postanowił ich śledzić, choć jego ranczo znajdowało się w przeciwnym kierunku. Widział jeszcze, jak oboje wchodzą do niewielkiego motelu, spostrzegł sylwetkę Tallie w oknie jednego z pokoi.

Zacisnął ręce na kierownicy i na następnych światłach zawrócił w stronę domu.

Gdy się tam znalazł, rzucił kluczyki na kuchenny blat, nalał sobie kanadyjskiej whisky Crown Royal i zagłębił się w skórzanym fotelu. Przez okno dało się w oddali dojrzeć ten kawałek ziemi, na którym stanąć miał ośrodek wypoczynkowy dla ludzi biznesu.

Czasami wieczorem wypatrywał nikłej poświaty, której źródłem były zapalane świece, jakimi Tallie oświetlała swój szałas. Dziś panowały tam kompletne ciemności.

Podszedł do baru nalać sobie kolejnego drinka. Musi przestać o niej myśleć. Otworzył przeszkłone drzwi i wyszedł do ogrodu. Ciągle żadnego światła w jej chacie. Westchnął. Nadal jest w motelu? Głupku, pomyślał, ona tam spędzi całą noc. A może powinien jednak sprawdzić, czy nic złego się z nią nie dzieje?

Wyciągnął z kieszeni komórkę i wybrał jej numer.

- Słucham - odezwał się męski głos.

- Przepraszam, chyba pomyłka.

- Chce pan pewnie rozmawiać z Tallie? W takim razie to nie pomyłka, wyszła na chwilę, zaraz będzie. Mam jej coś przekazać?

Mężczyzna mówił znużonym, beznamiętnym tonem. Ciekawe, co go tak zmęczyło? Nie twój interes, powiedział Cole do samego siebie w myślach.

- Nie, dziękuję - odparł. - Mówi Cole Masters. Chcę ją o coś zapytać, ale to może poczekać do jutra.

- Powiem jej, że pan dzwonił.

A więc pani doktor ma kogoś. Nie powinno to nikogo dziwić, w końcu to piękna kobieta. Faceci pewnie tłoczą się pod jej oknami.

Cole poczuł ucisk w brzuchu. Znał ten ból. On oznacza pożądanie. Oczami duszy widział ją w łóżku tamtego mężczyzny. Zachęcające spojrzenie jej zielonych oczu. Wiedział, jak ona smakuje i chciał jej znowu zaznać. Gładzić jedwabistą skórę, czuć ciepło jej dotyku, przeszywający ciało dreszcz. Dałby jej wszystko, czego by od niego zażądała.

Cholera. Trzeba z tym skończyć. Ona najwyraźniej kogoś ma. A nawet jeśli nie, to i tak ich wzajemna relacja nie była zbyt przyjazna. W dodatku ona za parę tygodni wyjedzie. Ale gubernator miał rację: Cole musi nad nią czuwać. Zapewnić odpowiednie warunki noclegowe, jedzenie i picie. A także znaleźć kogoś, kto na poważnie pomoże jej w pracy, niezależnie czy jej się to spodoba, czy nie. Jutro z rana o tym pomyśli.

Rozległ się dzwonek telefonu. Tallie.

- Stan mówił, że dzwoniłeś.

- Chciałem się tylko upewnić, czy planujesz dziś nocować w moim domu.

- Aha.

Wyglądało na to, że się waha. A co niby ma robić wyrwana z łóżka jakiegoś faceta? Na samą myśl, że ktoś inny mógłby jej dotykać, kochać się z nią, Cole poczuł dławienie w gardle.

- Tallie, ja nie pozwolę ci ani chwili dłużej mieszkać w tej szopie. To ci szkodzi.

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej. A teraz... masz do mnie coś jeszcze?

- Nie, nie mam.

Rozłączyła się, a on spojrział na wyświetlacz zegara. Dziesiąta. Postanowił poczekać na nią w szafasie. Bo do jego domu ona raczej nie przyjedzie.

Po dwóch godzinach oczekiwania przy chacie stwierdził, że dłużej tego nie wytrzyma. Pojechał do motelu i energicznie zapukał do drzwi pokoju. Po dłuższej chwili otworzył mu zaspany mężczyzna.

- Gdzie jest Tallie? - warknął Cole.

- Wróciła do domu - odparł zmieszany kolega archeolog. - To znaczy... tam, gdzie pracuje.

- Ja właśnie tam byłem. Nie ma tam ani Tallie, ani jej samochodu. Kiedy stąd wyjechała?

- Zaraz po waszej rozmowie. Zdenerwowała się.

- Nie tylko ona.

Cole spojrział na łóżko. Nie było na nim śladów obecności więcej niż jednej osoby.

- Słuchaj, człowieku - powiedział Stan. - Ona tu przyjechała, bo chciała w moim laptopie obejrzeć zdjęcia z wykopalisk, które prowadziłem. Jeśli tak ci na niej zależy, nie kryj tego. Powiedz jej. Ona już raz się sparzyła. Facet się jej oświadczył, a potem bez słowa zniknął z jakąś laską, która mu bardziej pasowała. Osobiście nie sądzę, żebyś znalazł kogoś lepszego niż Tallie. Sam bym do niej uderzył, gdybym nie miał żony. Coś jeszcze?

Cole wymamrotał pod nosem przeprosiny i wrócił do samochodu.

Po przyjeździe do domu z czystej ciekawości zajrzał do przydzielonej Tallie sypialni. Ktoś leżał w łóżku.

- Zgaś lampę - powiedziała, zakrywając oczy poduszką. - Gdzie byłeś?

- Pojechałem cię szukać.

- Dlaczego? Chyba dobrze zrozumiałam, czego się ode mnie domagasz.

- Całkowicie. Jesteś tu, gdzie twoje miejsce.
- No to zgaś światło i zostaw mnie w spokoju.

Cole potarł twarz dłonią. Cały ten czas, kiedy czekał na nią przy szafasie, ona jak niemowlę spała u niego w domu. Zgasił lampę i przysiadł na krawędzi łóżka.

- Tallie?
- Hm?

- Czy ciebie z tym kolegą łączy coś na poważnie?

- Masz na myśli Stana? - Po dłuższej chwili milczenia usiadła na łóżku. - Przecież ci mówiłam, to mój stary dobry kumpel. Ma żonę i trójkę dzieci. Jakie ty masz wyobrażenie na mój temat? Że ciągle kłamię?

- Większość ludzi kłamię.

- Ale nie ja - ucięła i zaczęła rozgarniać pościel. - Wracam do chaty.

- Tallie...

- Najpierw zmuszasz mnie, żebym tu przyjechała. Zrobiłam to, bo musiałam ci przyznać rację, jeśli chodzi o upał. Ale nie zamierzam zostawać w domu człowieka, który tak o mnie myśli. Jesteś snobem i arogantem. Bardzo mnie rozczarowałeś. I już nigdy nie próbuj mną rządzić.

W mgnieniu oka Cole podniósł się i zgarnął ją w ramiona. Spojrzała na niego zagadkowo.

W jej oczach tliło się pożądanie. Nie pytając o pozwolenie, zaniósł ją do swojego łóżka.

- Co ty wyprawiasz? Zostaw mnie!

Zaczął rozpinąć guziki jej koszuli, a potem zdjął jej majteczki. Stała teraz przed nim naga. Senne marzenie zamieniło się w rzeczywistość. Jej kształty były teraz jakby bardziej pełne, nędzne bytowanie w szafasie ani trochę nie zaszkodziło jej wspaniałej figurze.

Gwałtowna erekcja powodowała ból, na szczęście Tallie wzięła sprawy w swoje ręce i rozpięła suwak jego dżinsów. Położył ją na łóżku i przygwoździł swoim potężnym ciałem. Ona należy do niego. Żaden inny mężczyzna nie ma prawa dotykać jej tak jak on, wdychać jej zapachu, upajać się nią.

Wiła się pod nim. Dobrze pamiętał te jej ruchy, te ciche kobie-

ce jęki, które zmuszały go do opanowania się, do robienia rzeczy, których nie robił w łóżku z żadną inną kobietą.

Piersi jej nabrzmiały. Wtulił w nie głowę, a potem uniósł się i wszedł w nią. Była ciepła i wilgotna. Poruszał się łagodnie, delectując się zespoleniem. A gdy zaczął wykonywać rytmiczne miłosne pchnięcia, zapomniał o całym świecie. Czuł, że Tallie dochodzi. Wycofał się więc, zaczął całować jej brzuch, a potem tam, niżej, aż z głośnym okrzykiem zaczęła szczytować. Tulił ją, aż się uspokoiła.

A potem znów wszedł w nią głęboko i doprowadził do ponownego orgazmu, który tym razem przeżył razem z nią. Pocałował ją czule i okrył ich oboje prześcieradłem. Potem długo leżeli przytuleni.

Tallie bardzo lubiła kochać się z Cole'em. Lubiała z nim być, nawet jeśli czasami narzucał jej swoje zdanie oraz bywał bezwzględny i wymagający. Pamiętała jednak również, że ktoś taki jak Cole Masters nie będzie chciał pokazywać się publicznie z ciężarną kobietą.

To by zniszczyło jego wizerunek playboya, tabloidy chybaby oszalały. A ona na pewno nie chciałaby mieć z tym nic wspólnego.

On ma swój biznes, ona swoją pracę. On żyje w świecie bogactwa i przywilejów, ona lubi sobie spokojnie dłubać w ziemi. Nic ich nie łączy. Poza dzieckiem, ale Cole o tym nie wie.

Ich wspólne życie szybko zamieniłoby się w koszmar. Ona jest uparta, nie daje sobie rozkazywać. Jest niezależna, nie cierpi nadopiekuńczości i nigdy by się jej nie poddała. Beznadziejna sprawa - rozum nakazywał jej prosić go, żeby dał jej spokój. Serce kazało go kochać. Ale czy on będzie ją nadal kochał, gdy dowie się o dziecku?

Poczuła, jak ziemia usuwa się jej spod nóg. Jedyne nadzieja, że znajdzie dowody na istnienie plemienia przodków i będzie mogła wyjechać, zanim Cole przejrzy na oczy.

A więc kochali się i to było jak tamta noc w Nowym Orleanie, tyle że z turbodoładowaniem. Namiętność równie silna, ale

znikł strach przed kontaktem z kimś kompletnie nieznanym. On jest taki silny. Musiała przyznać, że z czasem przestała jej przeszkadzać jego władcza natura.

Chociaż wolałaby, żeby był zwykłym chłopakiem: pił piwo zamiast stuletniej whisky z importu, oglądał z kumplami mecze w telewizji, jeździł do pracy samochodem, a nie latał helikopterami. Ale cóż, Cole jest miliarderem. A ona nie znała instrukcji obsługi takich ludzi. I chyba nawet nie chciała znać.

Gdyby ją potem rzucił, tak jak John, chybaby tego nie przeżyła.

Ubrała się i zeszła na dół.

- Pewnie szuka pani pana Cole'a? Mówił, że idzie do głównej stajni - powitała ją parząca właśnie poranną herbatę Martha, sympatyczna pomocnica szefa kuchni, Andre.

Tallie wzięła do ręki kubek z gorącym napojem i wyszła na dwór. Ścieżką wyłożoną naturalnym kamieniem podążyła do pokaznego budynku.

Usłyszała rzenie i przyśpieszyła kroku. Uwielbiała konie. W młodości miała klacz, ale musiała ją sprzedać, gdy wyjeżdżała na studia.

Wewnątrz Cole rozmawiał z jakimś człowiekiem z dzieckiem na ręku. Tallie nie chciała im przeszkadzać, sama więc oglądała stojące w boksach stajni konie. Były wspaniałe.

- Tallie! - zawołał ją Cole. - Podejź, proszę, chcę, żebyś kogoś poznała. To mój brat, Chance - przedstawił rozmówcę.

- A ta młoda dama ma na imię Emma - powiedział Chance po zwyczajowej wymianie uprzejmości. - To siostrzenica mojej żony, ale wychowujemy ją jak własną córkę.

- Mama pojechała na koniku. Tata zablonił, ale mama nie słuchała - odezwała się dziewczynka.

- Jak się poznaliście? - spytał Chance, przesadzając Emmę na drugie ramię.

- W Nowym Orleanie. Jakies pięć miesięcy temu - wyjaśnił Cole.

- No to już szmat czasu. - Chance wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Brzmi to obiecująco.

- Szczęśliwi czasu nie liczą - odezwał się Cole.

Tallie była w szoku. Cole okłamuje własnego brata! Fakt, poznali się w Nowym Orleanie, ale cała reszta to kit. Szczęśliwi? On i ona? Może i chciałyby, by tak było, ale jako kopciuszek może sobie o tym tylko pomarzyć.

- Cole! - Młoda piękna blondynka o anielskiej twarzy trzymająca za uzdę jabłkowitego rumaka szła w ich kierunku. - Tak rzadko cię widuję.

- No to dziś masz szczęście. Holly, to jest doktor Tallie Finley - powiedział Cole. - Jest archeolożką, prowadzi wykopaliska na tym kawałku ziemi, który kupiłem kilka lat temu. A to doktor Holly Masters, żona Chance'a.

- I kto teraz wprowadzi tego konia do boksu? - zapytał Chance, na co Holly przewróciła oczami.

- Nie wiem, jak długo tu jesteś, ale mogę ci zdradzić pewną cechę braci Mastersów: są apodyktyczni i mają hyzia na punkcie kontrolowania innych. Zawsze tacy byli.

Chance przytulił i pocałował żonę.

- Właśnie się dowiedzieliśmy, że Holly jest w ciąży. Lekarz zabronił jej jazdy konnej. Ale niektóre przyszłe matki są głuche na głos rozsądku.

- Gratulacje dla was obojga - powiedziała Tallie.

- Będziemy mieć dzidziusia! - krzyknęła Emma.

- Właśnie wprowadziliśmy się do naszego nowego domu na ranczu. Jeśli masz trochę czasu, zapraszamy na krótkie zwiedzanie.

Tallie była autentycznie wzruszona i podziękowała za zaproszenie.

- Cieszę się, że poznałam twoich braci. Masz wspaniałą rodzinę - powiedziała, gdy razem z Cole'em szli w kierunku domu.

- Mówisz, jakby cię to dziwiło.

- Skądże!

- Rzadko udaje się nam zgrać terminy i spotkać we trzech. Fajnie było zobaczyć się z Chance'em. Ich dom, o którym mówiła Holly, jest jakieś osiem kilometrów stąd. Ja mieszkam w domu, który tata zbudował dla mamy.

- A Wade?

- W Dallas. To taka nasza rodzinna rezydencja. Blisko lotniska

i centrów rozrywki. W sam raz dla Wade'a, bo on dużo podróżuje i często się bawi.

- A ty?

- Bywam tu i tam. - Wzruszył ramionami. - Jestem na każde zawołanie.

- Czyli wtedy w Nowym Orleanie mówiłeś prawdę?

- Przeważnie - roześmiał się. - Uczciwie mogę przyznać, że nigdy nie nocowałem pod mostem.

- Wyglądałeś trochę jak kloszard.

- Tak wyszło. I chyba przyniosło niezłe rezultaty, nie sądzisz?

- Muszę przyznać - odparła niezbyt pewnie.

- Tallie, dlaczego nie pozwalasz nikomu, żeby ci pomógł w tych poszukiwaniach?

- Mogłabym, ale to moja sprawa, Cole. Obiecałam babci, że znajdę dowody na to, że w tym miejscu żyło starodawne plemię. Teraz już nie będę tak długo pracować w upale. Będę ostrożniejsza, ale muszę znaleźć to, czego szukam.

Była mu wdzięczna, że zamilkł, mimo iż widoczne napięcie jego ciała wskazywało, że chętnie by z nią polemizował.

- No to do zobaczenia.

Tydzień później Tallie właśnie kończyła pić poranną herbatę przed szafasem (rytuał ten już nierozłącznie wiązał się dla niej z tym miejscem, choć noc spędzała w domu Cole'a), gdy pojawił się dziwny pojazd. Wyskoczyły z niego cztery młode, wyraźnie podekscytowane kobiety. Zanim zdążyły wyjaśnić, kim są i co tu robią, swoją półciężarówką podjechał Cole. Wsiadł, uśmiechając się szeroko. Aha, więc to on za tym wszystkim stoi.

- Dzień dobry, doktor Finley. Znasz te panie? To Carolyn Hicks, Amy Knell, April Hastings i Kathy Brown. Wszystkie są studentkami antropologii albo archeologii na okolicznych uniwersytetach. I wszystkie są prymuskami.

Uśmiech Cole'a kojarzył się w tym momencie z miną tłustego kota, który właśnie połknął kanarka.

- Ubiegały się o praktyki wakacyjne w różnych placówkach i żadna się nie dostała, bo muzea nie mają pieniędzy. Udało mi się uporać z tym problemem i oto tutaj są. Gotowe do pracy. Za-

wsze marzyły, żeby pokopać sobie w ziemi. A to jest doktor Finley – zwrócił się do studentek. – To jej będziecie pomagać.

Tallie odebrało mowę.

– Czy macie jakieś doświadczenie...? – wyjąkała po chwili.

Wszystkie z wyjątkiem jednej podniosły rękę do góry.

– Nawet jeśli tego nie robiłaś, nauczysz się. Grunt, żeby kopać ostrożnie. Cieszę się, że jesteście i dziękuję. Bardzo potrzebowałam pomocy. Z tyłu mojej furgonetki znajdziecie skrzynkę z przyborami. Niech każda weźmie łopatkę, grabki i dwie szczotki, dużą i małą. Macie butelki z wodą?

Kobiety przytaknęły.

– No to do roboty!

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś – zwróciła się Tallie do Cole'a. – Bardzo mi się przydadzą. Byłam w podobnym wieku, kiedy pierwszy raz pojechałam na wykopaliska. Dzięki – powiedziała, objęła go i uścisnęła. – Wielkie dzięki.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł z błyskiem w oczach, podając jej szarą kopertę. – Tu masz informacje o każdej i podpisane zezwolenia na pracę. Ja im zapewnię lokum i wyżywienie.

– Dlaczego to robisz?

– Powiedzmy, że chcę, żebyś jak najszybciej wyniosła się z mojego terenu.

– Ale zadałeś sobie tyle trudu. I koszty...

– Rozliczę to sobie jako darowiznę. A ty szukaj tych twoich... wytworów cywilizacji. Jak znajdziesz pierwszy, natychmiast masz się do mnie zgłosić. Chcę wtedy zobaczyć twoją minę – dokończył, nie mogąc ukryć uśmiechu.

Tallie patrzyła za oddalającym się samochodem. Czy to sen? Jeśli tak, to nie chce się nigdy z niego obudzić.

Ustawiła dziewczęta w kółku i zaczęła tłumaczyć, czego szukają.

– Nie przeoczcie niczego, co wygląda jak zrobione przez człowieka. Ale interesują nas także skamieliny nasion, cebulek i fragmentów roślin. Wszystkie znaleziska odkładajcie na bok, żebym mogła je obejrzeć. Jakies pytania?

Rozdzieliła pracę, a sama podeszła z lornetką do skały, szuka-

jąc jakichkolwiek śladów jaskiń, pieczar i szczelin między wielkimi głazami. Warto by się tam wspinać i obejrzeć wszystko z bliska. Ale w jej stanie wspinaczka była raczej niewskazana. Zabrała się więc do pracy wydobywczej obok poletek wyznaczonych studentkom.

Była już prawie druga po południu, gdy usłyszała dziwne trąbienie. Spojrzała tam, skąd dochodziło i zobaczyła zbliżający się autobus. Nie, to był wielki kamper.

Cole spełnił obietnicę – koleżanki będą miały gdzie mieszkać.

– Hej, dziewczyny, przerwa! – ogłosiła Tallie. – Ja zaraz wrócę. A wy odpocznijcie. I nie zapominajcie o picciu wody!

Kierowca kampera przywitał ją, przedstawił się i zaproponował oględziny wozu oraz podpisanie oświadczenia, że Tallie przyjmuje go w użytkowanie. Właściciel ustawił go we właściwym miejscu, wypoziomował, podłączył telewizor oraz inne elementy wyposażenia.

Gdy Tallie dokonywała inspekcji, kierowca poszedł nad rzekę zorientować się, czy można tu wędkować.

Tallie nie miała pojęcia, że pojazdy turystyczne mogą być aż tak zbytkowne. Były tam trzy sypialnie, w tym jedna podwójna, dwie wanny z masażem, salonik, telewizor z płaskim ekranem i doprowadzonymi kanałami satelitarnymi, klimatyzacja, w pełni wyposażona kuchnia z marmurowym blatem i szereg innych luksusów. Tallie pomyślała, że ten kamper jest większy i wygodniejszy niż jej mieszkanie.

Gdy wyszła na zewnątrz, pojawił się inny pojazd, z którego wysiadł mężczyzna obładowany kartonami z pizzą i zgrzewkami wody mineralnej.

– Doktor Finley? Przywiozłem pani lunch. Gdzie mam to wszystko postawić?

Tallie wskazała mu ganek starej chaty. Zbiegła ze wzgórza i obwieściła dziewczynom, że przyjechał lunch. Wszystkie niezwłocznie pojawiły się przy szafasie i bez skrępowania raczyły się pizzą i lodowatą wodą.

– Jak skończycie jeść, zapraszam do waszego nowego domu. – Tallie wskazała kamper.

Wszystkie natychmiast zapomniały o posiłku i pobiegły oglą-

dać swoje lokum.

Cole Masters okazał się człowiekiem, który dotrzymuje słowa i bierze sprawy w swoje ręce. Wyświadczył jej przysługę, którą zaakceptowała. Jaki będzie jego następny krok? Tallie aż bała się pomyśleć.

Gdy podpisała dokumenty odbioru, pojechała do jego rezydencji. Stała w drzwiach gabinetu i czekała, aż skończy rozmawiać przez telefon. Zapraszał ją gestem do środka, ale wolała stać w progu.

- Przyjechał kamper - oznajmiła, gdy odłożył słuchawkę. - Dziękuję.

Stała z rękami skrzyżowanymi na piersi, czuła się jakoś niezręcznie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powtórzył po raz drugi tego dnia. - Dziewczyny mogą się wprowadzać. A jak skończycie prace, przekażę ten kamper twojemu muzeum. Może się przyda, a może będziecie woleli go sprzedać, nie obchodzi mnie to. Za to obchodzi mnie wasze bezpieczeństwo.

- Ale...

- Żadnych ale. Przez całą noc przy kamperze będzie czuwał stróż. Nie mamy tu w okolicy wielu przestępstw, ale będę się lepiej czuł, wiedząc, że ktoś zadba o spokój twoich koleżanek. A ty będziesz nadal nocować tu, na ranczu. Studenckie towarzystwo może być dla ciebie uciążliwe.

Przez chwilę oboje trwali w bezruchu. W końcu jak na zwolnionym filmie Cole pochylił się i pocałował ją.

Słyszała jego głębokie westchnienie, gdy objął dłońmi jej głowę i zanurzył palce we włosach. Potem pogłębił pocałunek. Czuła, że już po niej. Bezwiednie złapała go za koszulę i przyciągnęła bliżej, o ile to w ogóle było możliwe.

Boże, co ona robi? Zaangażowanie się w związek z Cole'em to mentalne samobójstwo. On przecież szybko się nią znudzi.

- Nie mogę - wyszeptała mu prosto w usta. - Muszę wracać do pracy.

- Tallie, zaczekaj.

Ona jednak, nie zatrzymując się, podążyła do drzwi. To kuszące, ale nie może sobie pozwolić na romans. Nie jest taka głupia.

Po powrocie na wykopalisko starała się opanować i skupić na pracy. Musi ją skończyć jak najszybciej i wyjechać. Bo inaczej wygada się o dziecku i ściągnie na siebie gniew Cole'a.

O czwartej ogłosiła koniec pracy na dziś. Temperatura przekroczyła trzydzieści trzy stopnie, pora na odpoczynek. Ona sama dwa razy nastąpiła na pień, poobijała nogi. Bolało jak cholera.

Zabrała z szafasu swój plecak i udała się do rezydencji na wzgórzu. Tam oczyściła upaprane ziemią ubranie. W kuchni znalazła paczkę krakersów i masło orzechowe.

Nalała sobie mrożonej herbaty. Marzyła o prysznicu, ale jeszcze bardziej o obszernej chłodnej sypialni. Poszła na górę, położyła się na łóżku i niemal natychmiast usnęła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obudziła się w nocy. Odsunęła pościel, wstała i udała się do łazienki. Miała ochotę na kąpiel w wielkiej wannie z masażem.

Zaczęła napuszczać wodę, gdy odezwało się ciche pukanie do drzwi sypialni. Cole.

- Zauważyłem, że u ciebie się świeci. Dobrze się czujesz? Potrzebujesz czegoś?

- Nie, dzięki. Po prostu obudziłam się i poczułam, że dobrze byłoby się wykąpać.

Zaczęła zdejmować koszulkę, gdy zorientowała się, że Cole wciąż jest w pokoju. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że powinien wyjść.

- Mogę pożyczyć od ciebie jeszcze jeden T-shirt? Ten muszę już uprać.

- Jasne.

Trudno było się jej do tego przyznać, ale naprawdę wołała teraz być tu, a nie w kamperze, w towarzystwie podekscytowanych rozgadanych studentek. Była im wdzięczna za pomoc, ale potrzebowała też ciszy i spokoju.

Gdy wycierała się po kąpiel, znów usłyszała ciche pukanie. Owinęła się prześcieradłem kąpielowym i otworzyła drzwi. W progu stał Cole z dwoma granatowymi podkoszulkami w ręku.

- Och, dziękuję.

Wyciągnęła po niego rękę i wtedy ręcznik się z niej zsunął. Schylić się o niego na golasa? Wypadłoby to chyba niezręcznie. Spojrzała na Cole'a.

Opalony, z włosami spłowiałymi od słońca, przypominał jej złoty posąg wojownika. Powoli opuściła ręce, nic sobie nie robiąc ze swojej nagości i z faktu, że stoi naprzeciw niego. Czowała, jak roznamiętnionym wzrokiem omiata jej piersi z naprężonymi sutkami.

Jego oczy wyrażały pragnienie. Inteligentny przystojniak. Nieważne, że przy okazji bogaty. Tamta noc w Dzielnicy Francuskiej była punktem zwrotnym w życiu Tallie. Wtedy przekonała się, jak cudowny może być seks, jeśli uprawia się go z właściwym mężczyzną.

Miała zamiar się cofnąć, ale Cole był szybszy i zrobił krok w jej kierunku. Bez słowa położył jej ręce na karku i przyciągnął do siebie. Gdy wsuwał język do jej ust, usłyszała jego cichy jęk. Zmusił ją, by szerzej otworzyła usta, jakby chciał je wypełnić sobą bez reszty.

Z niemal dzikim pomrukiem wziął jej głowę w dłonie i nieśpiesznie pogłębiał pocałunek. Zupełnie jakby chciał zatrzymać tę chwilę na zawsze. Jego usta pachniały winem i miętą, a ich tropikalna temperatura mówiła wszystko. Dłońmi objął jej pośladki, przyciskając jej ciało do miejsca, które w niezbity sposób świadczyło o jego podnieceniu.

Nagle przyparł ją do ściany, poruszając biodrami tak, by mogła poczuć jego erekcję. Nie mogła opanować wynikającego z braku spełnienia jęku. Chwyciła go za koszulę, którą natychmiast ze śmiechem z siebie ściągnęła. Zaczęła wówczas rozpinąć mu pasek u spodni.

Przynosząc T-shirty, Cole miał zamiar przekazać je Tallie w progę. Ale jej uroda tak go olśniła, że nie potrafił po prostu odwrócić się na pięcie i odejść.

Była nie tylko zgrabna, ale też niesamowicie kobieca i ponętna. Stanowiła uosobienie natury w jej najpiękniejszej nieskazitelnej formie. Wyglądała na zaskoczoną, ale w jej magnetycznym spojrzeniu dało się wyczuć pożądanie. Cole postanowił nie odchodzić. Chyba że z jej ust padnie zdecydowane nie.

Miał setki powodów, by w tym momencie wrócić do swojej sypialni i tylko jeden, aby zostać – to, że nigdy w życiu tak mocno nie pragnął żadnej kobiety.

Miała rozgrzane kąpielą ciało, jedwabistą skórę. Smakowała jak czarne jagody porastające cieniste ścieżki pod wysoką sosną i dębami. Gdy spojrzał jej w twarz, ogarnęła go niepoohamowana żądza, a ból spowodowany erekcją stał się nie do zniesie-

nia. Miała przymknięte powieki, odchyłoną do tyłu głowę, spęczniałe od jego pocałunków różowe wargi. Wodził ustami po jej aksamitnej szyi, lekko podskubując ją wargami. Miał wrażenie, że za chwilę umrze z rozkoszy.

Jej ręce znieruchomiały, jakby nagle zaczęła myśleć o czymś innym. Sam więc rozpiął sobie spodnie, uniósł ją za pośladki i umieścił w pozycji, która umożliwia mu akt seksualny. Wchodził w nią powoli i delikatnie, bacznie obserwując, czy wyraz jej twarzy nie świadczy o najmniejszym choćby dyskomforcie. Nogami oplótła jego biodra. Oparła głowę o ścianę i cicho jęczała.

Jednym mocnym pchnięciem wszedł w nią ostatecznie i rozpoczął rytmiczne ruchy. Nagle z głośnym krzykiem zaczęła szczytować. Powstrzymywał się jeszcze przez chwilę, choć nie było to łatwe. Chciał dać tej niesamowitej kobiecie, która tak nieoczekiwanie stała się częścią jego życia, maksimum rozkoszy.

Nie rozłączyli się ani na sekundę, gdy niósł ją do łóżka.

- Tallie - szepnął cicho. - Ja chcę jeszcze.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Uniosła głowę nad poduszką, poszukała jego warg i go pocałowała. Tym razem to jej język wniknął do jego ust. On po chwili przerwał pocałunek i zaczął wodzić językiem po jej ciele. Zaczął od ucha, a skończył na biuście. Ręką pieścił jedną pierś, a drugą ssał. Tallie jęczała, odchylając się do tyłu.

Czuł, że już długo nie wytrzyma. Wdychał jej woń, pachniała lawendą z domieszką rosnącej dziko teksańskiej szaławii. Nagle oboje dali się ponieść czemuś, co niczym trąba powietrzna porwało ich wprost do raju. I tam już pozostali.

W końcu Cole opadł na łóżko obok niej i zagłębił się w słodkiej otchłani, która pozwala zapomnieć o bożym świecie.

Rano obudził się ze wspomnieniami nocy.

Tallie wciąż spała z głową na jego ramieniu. Była piękna i niesamowita, jak zawsze. Była w niej jakaś dzikość i pasja, dzięki któremu poznał niezgłębione królestwo natury. Uprawiali seks w jego najczystszej, najbardziej pierwotnej formie. Chciałby teraz zostać z nią w łóżku aż do wieczora. I ją namówić na to samo. Nigdy mu się nie zdarzyło nic podobnego.

Niestety oboje musieli wracać do swoich obowiązków. Odsunął pościel i wstał.

Wyszedł z pokoju, rzucając tylko jedno spojrzenie na śpiącą piękność.

Tallie obudziła się i stwierdziła, że jest w łóżku sama. Tak dobrze i długo nie spała się jej już od dawna. Być może ostatnim razem w Nowym Orleanie. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Słońce stało już wysoko nad horyzontem.

Nie spodziewała się, że ostatnia noc będzie miała taki przebieg, ale niczego nie żałowała. Wręcz przeciwnie. Cole to świetny kochanek.

Ledwie wyszła spod prysznic i ubrała się, gdy dopadły ją mdłości. Tak już widać musi być, niedługo powinny przejść. Sięgnęła po ręcznik i otarła usta. Odwróciła się, by wziąć szczoteczkę do zębów i natknęła się na stroskane, utkwione w niej spojrzenie Cole'a.

- Mam zadzwonić po lekarza? - zapytał.

- Nie, to po prostu... - wyjąkała, kręcąc głową.

- Tallie, nie mów mi po raz kolejny, że coś złapałaś. Żadna infekcja nie trwa tak długo. Cokolwiek ci dolega, mnie możesz to powiedzieć.

Musi mu powiedzieć. Odwróciła do niego twarz.

- Cole, bałam się ci to powiedzieć, ale nie mogę już dłużej cię okłamywać. Moje dolegliwości są typowe. Jestem w ciąży.

Zapadło milczenie. Cole wpatrywał się w nią, jakby oczekując, że za chwilę ona przyzna się do głupiego żartu. Widziała, jak z trudem przełyka ślinę.

- Chcesz mi powiedzieć, że jesteś w ciąży, a ja jestem ojcem?

- Tak. To... to się stało w Nowym Orleanie.

Twarz mu pociemniała. Odwrócił głowę, jakby dłużej nie mógł na nią patrzeć.

- To niemożliwe.

- Zapewniam cię, że tak jest.

Cisza aż dzwoniła w uszach.

- To było prawie pięć miesięcy temu. A ty mi o tym mówisz dopiero teraz?

- Jeszcze dwa miesiące temu nie mogłam ci powiedzieć, bo cię nie znałam.

- Czego ode mnie chcesz, Tallie?

- Niczego.

Serce waliło w piersi, w uszach jej dzwoniło.

- Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć?

- Nie wiem.

- Co to ma znaczyć? - spytał gniewnie.

- Bo wiedziałam, że jak tylko ci powiem, oskarżysz mnie o... o różne okropne rzeczy. W najlepszym wypadku, że zrobiłam to celowo. Że polowałam na twoje pieniądze. Tego bym nie zniosła - dokończyła, patrząc w dal.

- A tak było, Tallie? Specjalnie zaszłaś w ciążę?

Spojrzała na niego przez łzy.

- Nie - szepnęła. Jak on śmiał zadać takie pytanie? - Byłam po obronie doktoratu i zaczynałam pracę, o której zawsze marzyłam. Ciąża jest ostatnią rzeczą, jaką się w takiej sytuacji planuje.

Wbił wzrok w podłogę, jakby z niej chciał wyczytać jakąś odpowiedź.

- Nie uda ci się. Niezależnie czy to zaplanowałaś, cokolwiek tobą kierowało, nic z tego. Nie jesteś pierwszą i zapewne nie ostatnią z tych, które próbowały.

Tallie nie mogła udawać, że nie słyszała jego słów. A więc Cole uważa, że wykorzystuje ciążę w celu wyciągnięcia od niego kasy. Nie miała pojęcia, jak się zachować. Setki razy odgrywała tę scenę w myślach, ale zawsze przerywała w miejscu, gdy z jego strony padał ten zarzut. Przewidywanie tego, co może wydarzyć się potem, przekraczało granice jej wyobraźni.

- Na co miałaś nadzieję, przyjeżdżając tutaj? - Spojrzał na nią, a ona na widok jego wściekłego spojrzenia aż się skuliła. - Czy te całe... wykopaliska, to rzekome szukanie starożytnej cywilizacji ma w ogóle jakieś pokrycie w faktach?

- Co to ma za znaczenie? I tak mi nie wierzysz.

Chciała otworzyć drzwi i zauważyła, że trzęsą jej się ręce. Nic dziwnego. Wystarczył kwadrans, by Cole z seksownego mężczyzny, w którym zakochała się na zabój, zmienił się w śmiertelnie

niebezpiecznego osobnika, którego spotkała pierwszego dnia pobytu na jego terenie.

Człowieka, którego każda rozsądna istota powinna obchodzić szerokim łukiem.

- Jeśli zostanie dowiedzione, że to moje dziecko, oczywiście się nim zaopiekuję. Podobnie jak jego matką.

- Ja o nic cię nie proszę. - Otworzyła drzwi, a w tym momencie pierwsza łza spłynęła jej po policzku. - Niczego od ciebie nie chcę. Sama potrafię o siebie zadbać. Chciałam po prostu, żebyś wiedział, że zostaniesz ojcem.

Po tych słowach zaczęła iść korytarzem. Serce miała rozbite na kawałeczki. Musi zabrać swoje fatalaszki, spakować się... Cole znienawidził ją za coś, czego nie zrobiła umyślnie.

- Po południu wyjeżdżam w interesach - zawołał za nią. - Wybiorę dla ciebie jakąś sukienkę i obrączki, jeśli takie jest twoje życzenie. Wracam za pięć dni i bierzemy ślub.

Zatrzymała się gwałtownie i powoli odwróciła twarz w jego stronę.

- Ja nie mam zamiaru wyjść za mąż.

- Owszem, będziesz tu na mnie czekać, a po moim powrocie pobierzemy się. Co masz zrobić jutro, zrób dziś. Sformalizujemy nasz związek.

- Nie! - Obróciła się na pięcie i podążyła do drzwi z tyłu domu.

Poczuła na ramionach czyjeś ciężkie ręce. Siłą odwrócił ją ku sobie.

- Nie igraj ze mną, Tallie.

- Bo co? Grozisz mi? Zniszczysz moją pracę? Zakopiesz, co odkopałam? Zaskarżysz do sądu moje muzeum? Wiesz co, żałowny jesteś. Jak cię zobaczyłam po raz pierwszy, było mi cię żal, bo wydałeś mi się taki samotny. Ale teraz widzę, że to jest twój wybór. Skończysz w całkowitym odosobnieniu, jako starzec, który ze smutkiem i ubolewaniem ogląda się wstecz na swoje życie. Mnie na szczęście przy tym nie będzie.

- Chyba masz rację, bo ja wszystko musiałem sobie kupić. Cały pakiet: żonę, dzieci, dom, rodzinę. A ty nie kiwnęłaś nawet palcem. Prawie się w tobie zakochałem. Bo myślałem, że...

- Że co? Co takiego sobie wymyśliłeś, Cole? - Łzy płynęły jej po twarzy, nie miała już siły z nimi walczyć. Miała złamane serce.

- Myślałem, że jesteś pierwszą uczciwą osobą, jaką spotkałem w swoim życiu.

Nie potrafiła powstrzymać głośnego szlochu. To bolało, i to bardzo. Chciała mu wykrzyknąć: ja cię nie okłamałam!

- Cole, ja jestem realistką. Nie jesteś zwyczajnym człowiekiem. Wyobrażam sobie, że razem z prawnikami niemal co dzień borykasz się z ludźmi, którzy chcą uszczknąć co nieco z twojego majątku. Ale ja do nich nie należę. Nie mam sposobu, żeby ci tego dowieść. Nie mówiłam ci wcześniej, bo bałam się tego twojego wzroku człowieka, którego spotkał zawód.

- Nie czuję się ani zdradzony, ani zawiedziony. Pobierzemy się, jak tyko uda mi się wszystko zorganizować.

- Nie! Odmawiam poślubienia kogoś, kto mnie nie kocha. A ty właśnie dałeś mi do zrozumienia, że mi nie wierzysz. To nie ma nic wspólnego z miłością.

- A tak z czystej ciekawości: cały ten incydent w Nowym Orleanie... to było wyreżyserowane, Tallie?

- Co takiego?

- To była część szerszego planu?

- Nie było żadnego planu.

Powiedziała to beznamiętnie, jakby wszystko w niej umarło.

- A już miałem nadzieję, że zaczniesz mówić szczerze... Ale nieważne, i tak się pobieramy. Nie zgodzę się, żeby mój syn czy córka nie nosili mojego nazwiska, niezależnie od tego, pod jakim pretekstem zostali poczęci. W mojej rodzinie tak się nie postępuje.

- Ja nie zamierzam wikłać się w małżeństwo, które nie ma szans na przetrwanie. A ty, zdaje się, masz wątpliwości co do swojego ojcostwa?

- A powinienem?

- Nie. Zrobię test i pokażę ci wyniki. Ale nie wyjdę za ciebie, Cole.

- Cholera. Mówi się trudno, moja droga.

Tallie usiłowała pracować, ale robiła to bez przekonania. Dziewczyny musiały wyczuć, że coś jest nie tak, ale nie pytały, za co była im wdzięczna. Po tamtej rozmowie Cole zawiózł ją do gabinetu lekarskiego w celu pobrania krwi, a potem do ratusza po stosowne formularze.

- Oczekuję, że po moim powrocie zastanę cię tutaj.

Patrzył na nią, marszcząc brwi. Miał zaciśnięte usta, a jego złociste wcześniej oczy zmatowiały i ściemniały.

Podrzucił ją do rezydencji, wziął teczkę i wyszedł bez słowa. Opadła na kanapę i zaniosła się głośnym płaczem. Od tamtej pory wszelki słuch o nim zaginął.

A ona nie wyjeżdżała z jednego, jedyne go powodu: kochała go. Potrafiła postawić się na jego miejscu i zrozumieć, co musiał przeżywać. Poczucie obowiązku kazało jej na niego czekać, choć w głębi duszy najchętniej czmychnęłaby jak najdalej i ukryła się w mysiej dziurze.

O czwartej ogłosiła koniec pracy. Ochłodziło się, a na niebie pojawiły się chmury. Tallie rozejrzała się wokół i znów jej wzrok padł na klify. Tam muszą być jaskinie, w których zapewne coś się kryje. Czy w piątym miesiącu ciąży powinna się wspinać, choćby po drabinie? To chyba niezbyt rozsądne.

Zagoniła dziewczyny do kampera, a sama wsiadła do swojego gruchota i pojechała na ranczo.

Było to ostatnie miejsce, w którym chciałyby się znaleźć, ale nie miała wyboru.

Każdy dzień z pięciu, które minęły od wyjazdu Cole'a, przebiegał identycznie: rano jechała na stanowisko archeologiczne, pracowała z dziewczynami do popołudnia, a potem wracała do rezydencji spędzić tam kolejną samotną noc. Od czasu ich kłótni Cole nie dawał znaku życia, nie dzwonił. Niby powinna być z tego zadowolona, ale jakoś zobojętniała na wszystko.

Ale tym razem już od progu słyhać było jego głos. Pewnie rozmawiał przez telefon w gabinecie.

- Okazuje się po to, żeby z nich korzystać, Matt - usłyszała, jak mówi w słuchawkę. - Mówię o biznesie, nie o życiu osobistym - sprecyzował, po czym przez chwilę w milczeniu słuchał rozmówcy. - Nie, niczego nie podejrzewałem, byłem na tyle głupi.

Była seksowna, napalona, nie widziałem powodów do abstynencji. A po pięciu miesiącach dowiaduję się, że jest w ciąży. Przecież się zabezpieczyłem, byłbym idiotą, gdybym tego nie zrobił. Potem kazałem ją sprawdzić. Też pewnie to zrobiłeś, mam nadzieję.

Czy Cole mówi o niej i o Nowym Orleanie? Nigdy nie podsłuchiwała cudzych rozmów, ale teraz żadna siła na świecie nie oderwałaby jej od tych zamkniętych drzwi.

- I co teraz zamierzasz?

Znów chwila ciszy.

- Zastanów się, Matt. Ona najpewniej leci na twoją forszę. Zawsze tak jest. A potem okazuje się, że stoi za tym jakiś facet, rzekomo jej przyjaciel, a w rzeczywistości prawdziwy ojciec dziecka. I on zgarnia kasę. Zanim do niego dotrzesz, wyczyści ci konto. Uprzedź ich ruchy i sam zaproponuj jej, że zapłacisz. Jeśli na to przystanie, sprawa stanie się jasna.

Znowu milczenie.

- W takim razie radzę ci, żeby twój adwokat sporządził projekt drakońskiej intercyzy. Bo chyba będzie ci potrzebna. Chciałbym się mylić, ale każdej babie oczy świecą się jak dwudziestoczworokaratowe złoto. Zrobi wszystko, żeby zdobyć ten błyszczący kruszec. Okej, cześć. Jakby co, daj znać.

Tallie wysłuchała tego ze ściśniętym gardłem. A potem popędziła w dół do samochodu. To był szok, ale rozum podpowiadał jej, że nie powinna się dziwić.

Chciała go zapytać, jak długo zamierza ją dręczyć i karać za coś, do czego sam w równym stopniu się przyczynił. Ale nie miała na to siły. Podsłuchana rozmowa telefoniczna zdradziła jej wszystko. Musi się stąd oddalić, i to natychmiast. Zanim on zmusi ją do małżeństwa.

Spełniły się jej najczarniejsze sny o tym, jak Cole zachowa się, dowiedziawszy się o ciąży. Jego słowa raniły mocniej niż nóż. Wyrażał się o niej bezosobowo, jak o obcej nikczemnej osobie. Jak o zdzirze, która zarabia na życie, wskazując facetom do łóżka, która zmusiła go do ślubu i do uznania dziecka. O ich związku mówił w sposób zimny i nieczuły. Nie mogła już powstrzymać płaczu. Cóż, sama jest sobie winna.

Nie może teraz wrócić na wykopaliska, on ją tam z łatwością znajdzie. Musi uciekać, ale wcześniej poczynić pewne przygotowania, żeby ktoś inny mógł kontynuować jej badania.

Zapaliła silnik. Najwyższa pora wrócić do domu.

Cole wyszedł z gabinetu, zmęczony, ale i uskrzydłony dopiero co zakończoną rozmową z menedżerem firmy, z którą od niemal czterech lat usiłował podpisać umowę o fuzji. Facet nareszcie zrozumiał, że mu się to opłaci.

Poczuł zapach jedzenia i skierował się do kuchni, gdzie Andre gotował kolację.

- Za dziesięć minut może pan siadać do stołu, panie Cole.

- Świetnie, Andre. Nie widziałeś gdzieś doktor Finley?

- Wyjechała. Powiedziała Carsonowi, że przyśle kogoś po rzeczy.

- Kiedy to było? - spytał Cole zdziwiony.

- Ze dwie godziny temu. Carson będzie wiedział dokładniej.

- Nie mówiła, dokąd jedzie?

- Nie. Wyglądała na przygnębioną, powiedziała mi tylko do widzenia.

Cole rozejrzał się po domu. Naprawdę wyjechała. Prawdziwy cud.

Zazwyczaj trzeba użyć siły Herkulesa, żeby pozbyć się baby, która już odkryła wszystkie karty. Czy ona wyobraża sobie, że będzie ją gonił? A potem błagał, żeby wróciła? No to się rozczaruje...

Nie znosił, gdy go oszukiwano. Zdarzało mu się to tak często, że zaczęło być męczące. Kobiety na sam dźwięk nazwiska Masters dostawały małego rozumu. A swoją drogą dziwne, że jej nie ma...

Wiedziony ciekawością wszedł do jej pokoju. Wszystkie rzeczy były na miejscu. Nawet pudełeczko, w którym na czarnym aksamicie połyskiwały dwie ślubne obrączki, pozostało nietknięte.

Zszedł na dół, powiedział Marcie, że musi nagle pojechać do banku i wyszedł na dwór. Niebo pokryte było czarnymi chmurami, w oddali dało się słyszeć uderzenie pioruna. Na drodze ujrzał światła sygnalizacyjne karetki pogotowia oraz wozów poli-

cji i straży pożarnej.

Serce zaczęło mu bić tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi. To było prawie dokładnie miejsce, gdzie przed laty Gina miała wypadek. Cole zatrzymał samochód.

- Proszę jechać dalej - zwrócił się do niego jeden z policjantów. - Ach, to pan Masters, przepraszam, nie zorientowałem się.

- Moja znajoma tędy niedawno przejeżdżała. Proszę mi powiedzieć, czy to przypadkiem nie półciężarowy ford stoczył się do jaru?

- Nie, proszę pana, to stary chevrolet. Kierowcą jest mężczyzna, cały w tatuażach. Chyba wypił za dużo i nie wyrobił się na zakręcie. Ale wyjdzie z tego.

- Dziękuję, panie oficerze, dobrze wiedzieć. - Cole odetchnął z ulgą.

Odjechał kawałek, przystanął i siedział przez chwilę, żeby się uspokoić.

Gdyby w samochodzie na dnie wąwozu była Tallie... Aż strach pomyśleć. Nie potrafiłby sobie tego wybaczyć.

Tallie jest w ciąży, a on zostanie ojcem. Wierzy jej. Wprawdzie Gina też oznajmiła mu, że jest w stanie odmiennym, ale tamto dziecko nie było jego. Tallie nie jest taka jak Gina. Nie okłamałaby go.

A on tak źle przyjął jej słowa o ciąży. Oskarżył ją, że chce go oszukać. Na wspomnienie swojej reakcji do dziś bolało go serce. Przecież po takich zarzutach może na zawsze stracić nie tylko Tallie, ale także swojego syna lub córkę.

A ona tam, w Nowym Orleanie, oddała mu się bez reszty. Tyle że źle wybrała. Był wtedy do tego stopnia przekonany, że każda kobieta to oszustka, że nawet nie zadał sobie trudu zostania z nią aż do rana. Nie było okazji porozmawiać. Ależ z niego głupek.

Cholera. To jego wina. Spieprzył, co tylko było do spieprzenia. Musi ją odnaleźć, wytłumaczyć się, przeprosić. Nigdy nikt nie prosił o wybaczenie, nigdy się przed nikim nie ukorzył, ale zawsze jest ten pierwszy raz.

Na myśl, że Tallie go mimo wszystko odrzuci, mróz przeszedł

mu po kręgosłupie.

Ale on ją kocha. Po raz pierwszy w życiu trafiła mu się prawdziwa miłość. Jest dumny ze swojego dziecka i z tego, że Tallie będzie jego żoną. Musi zrobić wszystko, żeby to się spełniło.

Dzwonił do niej raz po raz, ale nie odbierała. Boże, spraw, by mu wybaczyła. O ile w ogóle ją znajdzie...

Przez następne dni Tallie nie odpowiadała na jego telefony. Jej szef z muzeum odmówił mu podania jej adresu. Studentki, które pomagały jej w badaniach, też nic o niej nie wiedziały.

Odeszła. A jest na tyle inteligentna, że potrafiła się ukryć tak, żeby jej nie znalazł. Nawet jego ochroniarze będą tu bezradni.

Dlaczego jej szukasz? – z tyłu jego głowy odzywał się cichutki głosik. Przecież chciałeś, żeby zniknęła.

Boże, co za absurd.

I co on ma teraz zrobić?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Trzy miesiące później

Cole wszedł do gabinetu po jakieś dokumenty, gdy nagle zadzwonił jego telefon. Nieznany numer.

- Tak? - odezwał się chłodno.

- Czy to pan Masters? - usłyszał kobiecy głos.

- Tak, to ja. A kto mówi?

- Pewnie mnie pan nie pamięta. Nazywam się Kathy Brown i jestem jedną ze studentek, które pracowały z doktor Finley. Dał pan nam wszystkim na wszelki wypadek numer swojej komórki.

- Tak, przypominam sobie, Kathy. Masz jakieś wieści od doktor Finley? Wszystko z nią w porządku?

- Moja mama jest pielęgniarką w szpitalu miejskim w Dallas. Wie, że pracowałam z doktor Finley i wspomniała w jakiejś rozmowie, że doktor Finley leży u nich na oddziale.

- W szpitalu? - zapytał Cole, czując ukłucie w sercu.

Przez myśl zaczęły mu przebiegać najgorsze scenariusze. Co się mogło stać? Jeśli się nie rozpląkał, to tylko dlatego, żeby nie straszyć młodej rozmówczynie.

- Tak, proszę pana. Od tygodnia. Coś jest nie tak z jej ciążą. - Zamilkła, jakby zastanawiając się, jak dużo może mu powiedzieć. - Doktor Finley jest taka miła i wiem, że się przyjaźniliście, więc pewnie pan wie o jej ciąży.

Owszem, wiedział. I wiedział jeszcze coś, o czym nie wiedziała studentka. Zapewnił Kathy, że wszystko będzie w porządku i zakończył rozmowę.

Serce zaczęło bić mu jak szalone. Zadzwonił po kierowcę. Nie miał czasu na prysznic. Od zniknięcia Tallie całe dni spędzał w stajni. Czyścił boksy, czesał i trenował konie. Tylko to go zajmowało. Biznes przestał go interesować.

A teraz musi jak najszybciej być przy niej.

Lot helikopterem do Dallas włókł się w nieskończoność. Po wylądowaniu wsiadł razem z kierowcą do oczekującej limuzyny. Jazda do miasta dłużyła się nieznośnie, każdy przystanek na czerwonych światłach trwał chyba godzinę.

W końcu zamajaczył przed nimi wysoki, kilkunastopiętrowy budynek szpitala. Podjechali, szofer przystanął koło pergoli, a Cole jak oparzony wyskoczył z auta. Gdy już stanął przed prowadzonymi na OIOM podwójnymi drzwiami, czuł się zmęczony jak po przebiegnięciu maratonu.

Z każdym krokiem jego obawy wzrastały. Czy ona zechce mnie widzieć? Przez całą drogę towarzyszyły mu tego typu wątpliwości.

Wszedł do pokoju pielęgniarek i zapytał o Tallie. Asystentka poszukała czegoś w komputerze i powiedziała, że pani Finley została przewieziona na chirurgię, dwa piętra wyżej. I że tam jest poczekalnia.

Cole pobiegł do windy, a potem zadzwonił do drzwi na oddział chirurgii. Otworzyła mu pielęgniarka.

- Szukam Tallie Finley.

- A kim pan jest?

- Cole Finley, jej mąż. - Kłamstwo gładko przeszło mu przez gardło.

- Właśnie zabrano ją do pokoju wybudzeń. Powiem, że pan przyszedł. Proszę usiąść w poczekalni na końcu korytarza. Damy panu znać, jak już będzie można do niej wejść.

Pokój wybudzeń. To chyba dobrze?

Tallie opuściła ranczo trzy miesiące temu. Teraz więc musi być, obliczył szybko, w połowie dziewiątego miesiąca.

Minuty wlokły się niemiłosiernie. Nie było sensu bez przerwy patrzeć na zegarek. Cole wstał i podszedł do okna. Ludzie wchodzili i wychodzili z poczekalni. Niektórzy z uśmiechem na twarzy, inni z płaczem. Zacisnął pięści. Tallie musi z tego wyjść. Po prostu musi.

W końcu któraś z pielęgniarek wezwała „pana Finleya” do pokoju wybudzeń. Tallie spała, jej twarz była popielata. Nie mógł jej nie dotknąć.

Podszedł do łóżka i uniósł jej drobną miękką dłoń. Tallie poruszyła się i zamrugała oczami, jakby nie mogła uwierzyć, że on jest tu, obok niej.

- Jesteś - wyszeptała z wysiłkiem.

Zamknęła oczy, skupiona na tym, co się dzieje z jej ciałem. Ale po chwili lekko, a potem mocniej, ścisnęła jego dłoń.

- Wszystko z nimi w porządku? Z dziećmi.

Z dziećmi? Czy ona majaczy?

- Jasne, kochanie - powiedział, żeby ją uspokoić. - Wszystko będzie dobrze.

Chciał zapytać, dlaczego do niego nie zadzwoniła, dlaczego nie chciała, by wiedział, gdzie ona jest. I dlaczego o swoim synku czy córeczce mówi w liczbie mnogiej? Tysiące pytań, ale teraz żadne z nich nie jest tak ważne jak to, żeby mu przebaczyła.

- Dumny z pana tatuś? - zwróciła się do niego pielęgniarka, sprawdzająca na monitorach stan zdrowia Tallie.

- Tak. Z całego serca - odparł z przekonaniem.

Oczy Tallie wypełniły się łzami. Jego słowa były wyrazem akceptacji.

- Ludzie, macie dwójkę pięknych synków. Jesteśmy zdania, że wszystko będzie z nimi okej. Na razie muszą pozostać w inkubatorach, ale są wydolni oddechowo i drą się z głodu jak opętani. Jak tylko wydali pani leki, które pani podaliśmy, przeniesiemy panią do jedyneki i będziemy przynosić dzieci do karmienia, pani Finley. O ile oczywiście pani zechce.

- Oj tak, bardzo - zapewniła Tallie.

- Pani stan jest zadowolający. Za jakąś godzinę ktoś po panią przyjdzie.

Cole miał oczy jak pięciodolarówki. Bliźniaki. Aż przysiadł z wrażenia.

- Cole, wszystko w porządku? - spytała Tallie.

- Tak, kochanie. Mamy bliźnięta. Bliźnięta.

Zaśmiała się cicho.

- Zgadza się, ty wariacie. Dlaczego przyjechałeś?

- Bo cię kocham, Tallie - odparł, całując jej dłoń.

- Ale ty przecież nie wierzysz w miłość.

- Myliłem się. Byłem głupi. Nigdy w życiu do nikogo nie czu-

łem tego, co do ciebie. Kiedy pomyślałem, że może ci się coś stać... Tallie, wybaczysz mi, że tak podle się zachowałem? Wyjdiesz za mnie? Moje życie bez ciebie to nonsens.

- Nie jesteś chyba gotowy na ustatkowanie się, na żonę i dzieci. Masz swoją pracę. A ja będę ci przeszkadzać.

- Jesteś pierwszą i jedyną kobietą, z którą czuję się związany. I ostatnią. Nie chcę już nikogo innego w moim życiu. Wyjdź za mnie, Tallie. Ty też mnie kochasz i wierzysz w moją miłość. Weźmy ślub, a nie pożałujesz.

- Kocham cię, Cole. I moja odpowiedź brzmi: tak.

- Naprawdę? Wyjdiesz za mnie?

- Łatwo mnie przekonać, jeśli sprawa dotyczy ciebie. - Uśmiechnęła się, a w jej szmaragdowych oczach znów pojawiły się wesołe iskierki.

Pochylił się i delikatnie ją pocałował. Potem ujął jej głowę w swoje ręce i całował ją coraz mocniej.

- Jesteś taka piękna - powiedział takim głosem, że nikt nie mógłby mieć cienia wątpliwości w szczerść tych słów.

Chwilę później do sali wkroczyła ekipa pielęgniarek, które przewiozły Tallie na łóżku do pojedynczej sali.

- Panie... Finley? - zagadnęła go jedna z dziewcząt. - Jak już wszystko tu urządzimy, może zechciałby pan potowarzyszyć żonie w karmieniu? W pokoju pielęgniarek dostanie pan rękawice i fartuch.

Przejęty, a jednocześnie z lekka nieprzytomny Cole posłuchał pielęgniarki. Gdy Tallie została już na dobre ulokowana w swoim nowym pomieszczeniu, Cole'owi podano noworodka owiniętego w niebieski kocyk. Drugie dziecko powędrowało w ramiona matki.

Cole mógł jedynie podziwiać małą istotkę, która wydała mu się czymś nieskończenie doskonałym. Płacz malca przypominał raczej pisk kotka, lecz dla ojca to był najpiękniejszy dźwięk, jaki słyszał w życiu.

Wymienili się z Tallie spojrzeniami i bezgłośnie „kocham cię”. Na widok przyszłej żony karmiącej jego dzieci Cole'a rozpierała duma i wciąż rosnąca miłość. Dwóch synów. Ta wspaniała kobieta obdarowała go dwiema cudownymi istotami.

Nakarmione dzieci wróciły do sali noworodków, a Cole wyszedł, by dać Tallie odpocząć. Pocałował ją na pożegnanie i przyrzekł, że wkrótce wróci.

Czy naprawdę zgodziła się poślubić Cole'a Mastersa? Łzy szczęścia trysnęły jej z oczu. Po raz pierwszy w życiu czuła się naprawdę kochana. I to przez tak niesamowitego mężczyznę. Z tą myślą, odprężona, przymknęła oczy.

Po jakiejś godzinie znów usłyszała pukanie do drzwi. Cole. Uśmiechnięty od ucha do ucha wniósł do pokoju największy bukiet czerwonych róż, jaki widziała w życiu. Pocałował ją delikatnie.

- Jak się czujesz?

- Całkiem nieźle.

Uniosła się i oparła o poduszkę. Przyszedł czas na zadanie trudnego pytania na niepokojący ją od dłuższego czasu temat.

- Cole, tuż przed opuszczeniem rancza podsłuchałam twoją rozmowę telefoniczną z niejakim Mattem. Powiedziałeś mi, że specjalnie zaszłam w ciążę, bo zależało mi wyłącznie na twoich pieniądzach. Jeśli tak myślisz, to po co tu przyszedłeś? Dlaczego chcesz się ze mną ożenić? - dokończyła ze łzami, sięgając po leżące na nocnym stoliku chusteczki.

Cole przysiadł na brzegu łóżka, wziął od niej chusteczkę i osuszył jej oczy.

- Ależ kochanie, ja nie mówiłem o tobie. To dotyczyło Giny, mojej byłej żony. Razem ze swoim chłopakiem umyślili sobie, że ona wyjdzie za mnie, żeby móc ciągnąć kasę z moich kont. Chodziło o miliony dolarów. W nocy, kiedy wyrzuciłem ją z domu,jechała za szybko i na zakręcie straciła panowanie nad kierownicą. Zginęła na miejscu. Razem z dzieckiem, które nosiła. Nigdy nie dowiedziałem się, czyje było, moje czy tamtego faceta.

- Och, Cole, tak mi przykro.

- To przez nią stałem się takim zgorzkniałym i podejrzliwym twardzielem. Kiedy tak na ciebie naskoczyłem, to ją miałem naprawdę przed oczami. Będę tego żałował do końca moich dni.

Tallie podniosła do ust ich splecione ręce i ucałowała jego dłonie.

- Tak mi przykro, że musiałeś przez coś takiego przejść.

- Boże, Tallie, jaka ty jesteś kochana. Kiedyś myślałem, że kocham Ginę. Dopiero dzięki tobie dowiedziałem się, jak wygląda prawdziwa miłość.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wtargnął istny orszak. Tallie rozpoznała wśród nich braci Cole'a: Wade'a i Chance'a, któremu towarzyszyła żona Holly. Zanim zdążyła się z nimi przywitać, pojawił się jeszcze jeden gość.

- Cześć, doktor Finley - powiedział. - Gratulacje. Ty i Cole macie dwóch pięknych synów.

- Dzięki.

Co tu robi ksiądz Blackhawk, proboszcz jej rodzinnej parafii? I dlaczego trzyma w ręce coś, co na pierwszy rzut oka wygląda na oficjalny dokument?

- Obiecałaś, że za mnie wyjdiesz - odezwał się Cole. - Trzymam za słowo.

- Jesteś tego pewien? - zapytała. - Tu i teraz?

Cole nachylił się nad nią i szepnął jej do ucha:

- Tak. A jak wyzdrowiejesz, udowodnię ci, jak bardzo jestem tego pewien.

Tallie podpisała akt zawarcia małżeństwa i zwróciła go wielbnemu, który z kolei dał go do podpisu świadkom - Wade'owi, Holly i Chance'owi. Po jakichś dziesięciu minutach, gdy tylko Holly uczesała ją, umalowała jej usta i położyła trochę rózu na policzkach, Tallie i Cole wypowiedzieli słowa przysięgi, stając się państwem Mastersami. Jego usta nigdy tak jej nie smakowały.

Kiedy zebrani zaczęli klaskać, Cole uniósł głowę i puścił do żony oko.

To był naprawdę piękny dzień.

EPILOG

Cały personel muzeum tłoczył się wokół postawionego przed drzwiami jej gabinetu podwójnego wózka, żeby móc z bliska obejrzeć dzieci Tallie.

A ona weszła do środka, włączyła komputer, żeby sprawdzić, jakie spotkania ma umówione w najbliższych dniach i jakie prace wykopaliskowe zaplanowano na ten miesiąc. Spojrzała na zegarek. Gdzie się podziewa Cole? Miał tu po nią przyjść.

Usłyszała, jak na zewnątrz budynku tłumek wiwatuje na cześć Cole'a, który najwyraźniej właśnie się pojawił. Przejrzała swoją skrzynkę mejlową.

Była pełna. Załatwienie tych spraw zajmie jej więcej czasu, niż się spodziewała.

- Cześć, kochanie. - Cole okrążył biurko i cmoknął ją w policzek. - Najlepsze życzenia z okazji... półtoramiesięcznicy naszego ślubu.

Gdy szczyrzył zęby w uśmiechu, Tallie zdała sobie sprawę, że skończył się jej okres ochronny. Romantyczne wieczory, spontaniczny seks - to wszystko teraz powróci. Kilka razy byli już o krok od pójścia do łóżka, ale Cole okazał się nieugięty. Choć ona nieraz wspominała, że tej akurat cechy charakteru nie ceni w nim najbardziej...

- Mam dla ciebie prezent ślubny.

- Starzy mężowie nie dają prezentów ślubnych - roześmiała się. - No ale pokaż, co tam masz?

Szeroki uśmiech zagościł na jego twarzy. Tallie patrzyła, jak Cole odwija koc, którym opatulony był jakiś przedmiot wielkości piłki futbolowej. Rozlegające się głębokie westchnienia uświadomiły jej, że nie są sami. W progu kłębił się niezły tłumek.

- Przedstawiam ci garnek, no w każdym razie jego sporą część, z twojego wykopaliska. Doktor Sterling podstemplował

stosowny certyfikat. To jest coś, czego szukałaś, Tallie.

- Ale jak...

Cole podał jej znalezisko.

- Kopałaś coraz bliżej klifu. A ja wynająłem kilku facetów, wspięliśmy się tam i znaleźliśmy jaskinię, której istnienie przeczuwałaś. W środku było pełno ceramiki, dzid i włóczni, ozdób i w ogóle mnóstwo rzeczy. Nie wchodziliśmy głębiej, nie chciałem narażać się na twoją wściekłość, gdybym zdeptał coś bezcennego. Tak więc ty musisz odkryć całą resztę. Masz teraz dowód na to, że twoja babcia miała rację. Tallie, te skały to siedzioba twoich przodków.

Rozległy się brawa i okrzyki radości. Dopiero doktor Sterling musiał uciszyć zebranych, by nie obudzili dzieci. Koledzy ostrożnie podawali sobie z rąk do rąk cenne znalezisko, wyrażając swoje uznanie.

- Cole, jeśli to jest naprawdę miejsce, gdzie żyli moi przodkowie, to będziesz miał jeszcze więcej problemów ze swoją budową.

- Co ty nie powiesz! To mam znaleźć inne miejsce dla mojego projektu czy może zasypać jaskinię i zapomnieć, że kiedykolwiek istniała? - zapytał, przysiadając na brzeżku biurka. - Nic takiego się nie stanie. Rozmawiałem z doktorem Sterlingiem. Twoje odkrycia staną się częścią tego, co zbuduję. Czy istnieje lepszy sposób na opowiadanie ludziom o początkach Ameryki niż pokazanie gościom relikwii naszej przeszłości? Filia muzeum znajdzie się na terenach mojego ośrodka.

- Naprawdę masz taki zamiar?

- Tak. I przyznaję ci rację, kochana. To jest ważniejsze od całej reszty projektu.

- Dzięki, Cole. - Tallie zasypała męża pocałunkami i omal go nie udusiła, ściskając.

- Coś ci powiem. Skończ, co masz zrobić, a potem zabieraj tych swoich dwóch rozpuszczonych smarkaczy do domu. A tam pokażę ci, jak możesz mi podziękować.

- No to na co czekamy? - spytała, zamykając klapę laptopa.

Pchając wózek i obejmując żonę, Cole przeciskał się przez rozentuzjasmowany tłum do samochodu. Tam odwrócił się i po-

machał wszystkim na pożegnanie.

A Tallie pomyślała o swojej babci, swojej *ipokini*, której wdzięczała to całe cudowne zamieszanie. Jedna mała mapa zmieniła bezpowrotnie jej życie. Dała jej miłość wymarzonego mężczyzny.

Nic lepszego nie mogło jej spotkać.

Tytuł oryginału: One Night with the Texan
Pierwsze wydanie: Harlequin Desire, 2017
Redaktor serii: Ewa Godycka
Korekta: Urszula Gołębiewska

© 2017 by Sarah Cannon

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa 2018

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych i umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Gorący Romans są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-3525-9

Konwersja do formatu MOBI:

Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Epilog
Strona redakcyjna